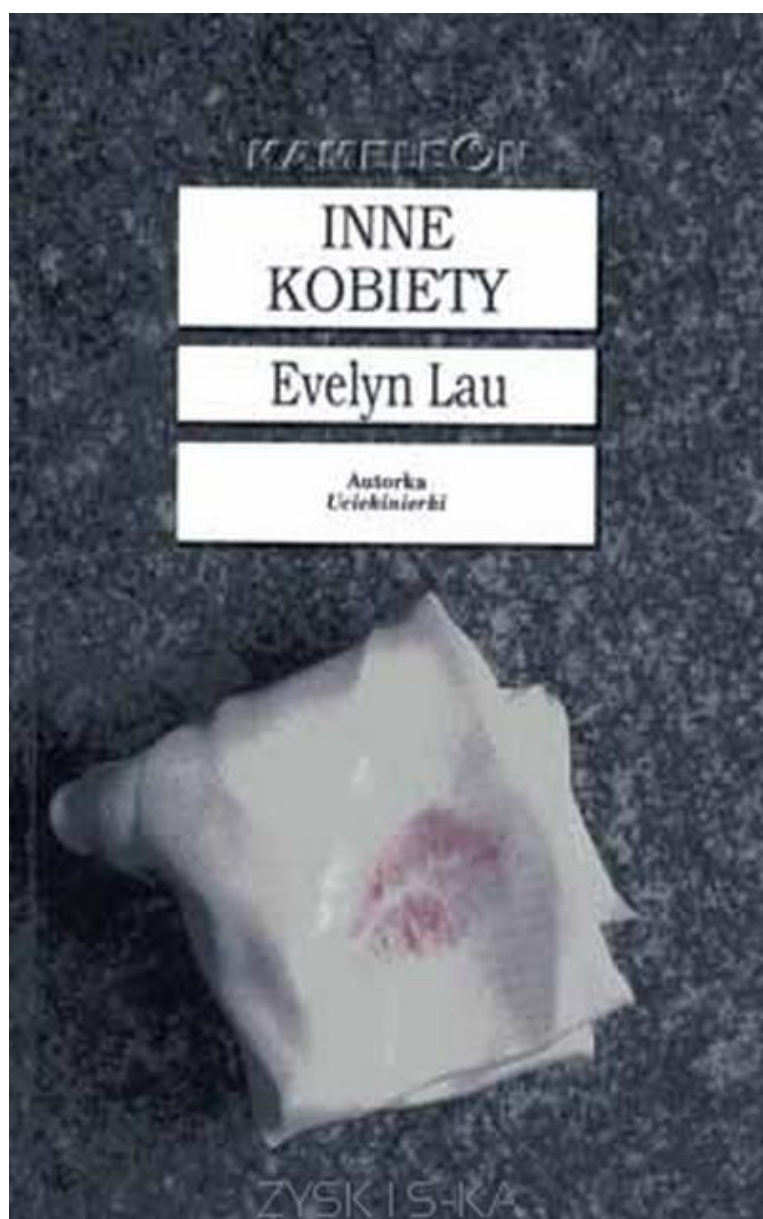




---

EVELYN LAU  
INNE KOBIETY

Tłumaczyła Marlena Justyna





...wiodąc ponure i monotonne życie, w którym liczy się tolerancja, a brakuje spełnienia, jedynie wiarołomstwo jest dowodem przywiązania, poprzez ryzyko, które z sobą niesie; tylko w rytm zdrady krew tętni w piersiach, jak gdyby niosła ze sobą radość.

**Donald Hall**, *The One Day: A Poem in Three Parts*

Kiedy sądzimy, że jakaś istota ma udział w nieznanym życiu, w które by nas jej miłość wprowadziła, jest to ze wszystkiego, czego wymaga krystalizacja miłości, rzecz najistotniejsza i pozwalająca zamknąć oczy na wszystko.

**Marcel Proust**, *W poszukiwaniu straconego czasu (W stronę Swanna)*  
(przeł. T. Boy-Żeleński)

*Johnowi Updike'owi, którego książki  
były dla mnie nieustannym źródłem inspiracji  
podczas pisania mojej powieści.*

Pragnę wyrazić podziękowania radzie Canada Council za wspaniałomyślne przyznanie mi stypendium „B”, Dougowi Pepperowi i Sarah Davies z wydawnictwa Random House za ich entuzjazm i zrozumienie, Crawfordowi Kilianowi za zapoznanie się z pierwszą wersją mojej powieści oraz Terze Coughiin za gościnę w jej domu w Los Angeles.

Szczególnie serdeczne podziękowania kieruję do mojej agentki Denise Bukowski za dokonanie wnikliwej oceny ostatecznej wersji rękopisu.

Kilka rozdziałów powieści *Inne kobiety* ukazało się najpierw, w nieco innej formie, w czasopismach „Canadian Fiction Magazine”, „Canadian Forum”, „The Capilano Review”, „Paragraph”, „Prairie Fire” oraz „Quarry”.

Raymond, ubrany na czarno, podchodzi do drzwi; ta twarz należy do mężczyzny, którego ona kocha; jego skóra jest twarda i szorstka jak kamień, oczy wąskie, ruchliwe; ta twarz należy do człowieka, dla którego zarabianie na życie jest równoznaczne z wyrządzaniem krzywdy innym.

Nie ma na niej śladu cierpienia. Rysuje się ono natomiast na twarzy Fiony, zmierzającej w stronę jego pokoju hotelowego. Jej odbicie widoczne jest w lustrze znajdującym się w końcu korytarza. Sylwetka pojawia się wewnątrz antycznej ramy, którą zdobią winorośle i rozety. Ciemne włosy spływają swobodnie na ramiona, oczy mają kolor bałtyckiego bursztynu. Jej dłonie to dłonie artystki, o długich jasnych palcach; delikatne, czerwone usta zawsze gotowe do wypowiedzenia przeprosin. Mężczyźni uważają, że to one są jej największym atutem.

Zatrzymuje się przed drzwiami jego pokoju. Puka. Gdyby w tej chwili był po drugiej stronie, wstrzymał oddech i spojrzał przez dziurkę od klucza, zobaczyłby na jej twarzy grymas wyrażający być może żalobę, być może fizyczne pożądanie. Ona opiera czoło o pomalowane na biało, chłodne drewno drzwi; wydaje się jej, że wewnątrz pokoju słyszy szept, szelest materiału, odgłos przewodu telefonicznego przeciąganego po mahoniowym biurku. Wie, że on rozmawia z żoną. Puka nieco dłużej — ukradkiem jak kochanka, a potem ostro i niecierpliwie jak pokojówka podczas porannego sprzątnia.

On podchodzi do drzwi, otwiera, cofa się i patrzy na nią nieruchomym, nie wyrażającym żadnego zainteresowania wzrokiem. Takim spojrzeniem mógłby obrzucić ją ktoś zupełnie obcy, mijając na ulicy, spojrzeniem pełnym obojętności, niemal wyraźnej niechęci.

— Musimy porozmawiać — odzywa się Raymond.

Ona wie, że za chwilę to wszystko powtórzy się od początku.

Dwie ściany jego pokoju na trzydziestym piętrze są całe ze szkła i widać przez nie panoramę miasta. Na tej wysokości okna jego pokoju znajdują się na

poziomie okien instytucji finansowych usytuowanych po przeciwnej stronie ulicy; ich pomieszczenia biurowe i sale konferencyjne pozostaną puste aż do rana. Raymond siada w jednym końcu sofy, przy oknie naprzeciwko łóżka, czekając, aż ona zajmie miejsce obok niego. Tuż przy jego łokciu, w wazonie na stoliku, stoi więdnąca róża. Gdyby ujęła ją w dłonie, poczułaby jedwabisty dotyk podobny do delikatnych piórek na brzuszku jaskółki, do jego ciepłej moszny, gdy układał jej dłoń między swoimi nogami i przytłumionym głosem prosił, by trzymała ją w tym miejscu.

— Myślę, że wiesz, co chcę ci powiedzieć — mówi teraz, upewniając się, czy ona pamięta poprzednie rozmowy.

Ona siada obok, a on odwraca się w jej stronę. Pospiesznie wyciąga rękę i dotyka jej nadgarstka, tuż poniżej brzegu rękawa. Ten gest sprawia jej taki ból, jak gdyby zranił ją w to miejsce jakimś ostrym narzędziem; drżenie rozchodzi się wzdłuż całej jej ręki. W tym dotyku, ruchu jego palców nie ma żadnej delikatności. Patrzy na nią jak człowiek, który śpiesząc się, musi właśnie czekać na zmianę świateł na skrzyżowaniu; jak ktoś, kto zrobił zakupy, a teraz przyszło mu stać w kolejce do kasy za osobą, która wyjmuje książeczkę czekową, by zapłacić za jeden czy dwa drobiazgi.

— Fiona — zwraca się do niej — wiesz, jak ważne jest dla mnie moje małżeństwo. Wiesz, że kocham żonę.

Ona widzi jego pobladłą twarz jak przez mgłę, patrzy jakby przez łyzy, ale mimo to rozróżnia twardy zarys jego ust i nieruchome powieki.

— Gdy patrzę na moją żonę — mówi dalej — widzę twarz kobiety, na którą chcę patrzeć, gdy będę już w podeszłym wieku.

Fiona przypomina sobie jego twarz w łóżku poprzedniej nocy — za oknem miasto, w którym ona mieszka, kremowe prześcieradło owinięte wokół ich ciał, trzy linie zmarszczek, których doliczyła się poniżej jego oczu. Ujrzała, wstrząśnięta tym odkryciem, twarz mężczyzny, którą chce widzieć, gdy otworzy oczy pewnego ranka za dwadzieścia, trzydzieści czy czterdzieści lat. To była twarz z widocznymi już śladami upływu lat; w świetle lampy zauważyła wgłębienia w

jego skórze, które z czasem będą się powiększały i stawały coraz ciemniejsze, w kącikach oczu dostrzegła miniaturowe wachlarzyki zmarszczek. Tę twarz widywała czasem w snach, z których budziła się w środku nocy, gdy była sama.

Fiona wyznała Raymondowi, co do niego czuje. Ukrył twarz w poduszce; ona obserwowała linię jego pleców, ciepłe, pochylone ramiona i delikatny połysk włosów w żółtym świetle lampy; miłość, którą czuła, wezbrała w niej taką falą namiętności, którą musiała przełknąć, by zatrzymać w środku. Potem trzymał jej ręce i potrząsając całym jej ciałem, mówił: „Wiesz przecież, że kocham żonę. Wiesz, że gdy tylko ją zobaczyłem, wiedziałem, że jest tą kobietą, z którą chcę być zawsze. W ciągu piętnastu lat nic się nie zmieniło”... i jego oczy były wilgotne, a gdy przytulała go do siebie, czuła jego łzy na swoich piersiach. Gdyby wtedy spojrzała w lustro po przeciwnej stronie pokoju, ujrzałaby swoją twarz przepelnioną cierpieniem i nie rozpoznałaby jej wśród wszystkich tych swoich twarzy, które kiedyś widywała w lustrze. Taki wyraz mogłaby przybrać, szydząc z kogoś.

— Nic dobrego nie może z tego wyniknąć — mówi teraz. — Nie mogę oddać ci siebie. Nie mogę zostać twoim kochankiem.

Były noce, które nadawały kształt minionym piętnastu miesiącom ich życia, noce, kiedy czuła, że naprawdę żyje; gdy całowali się, przygryzając swoje wargi i sutki, pozostawiając na nich fioletowoczerwone ślady, gdy brała do ust jego członek rozciągnięty na całą długość, gdy jego palce wbijały się w jej uda. Choć nigdy nie czuła go w sobie, chociaż nigdy nie uwolnił potoku spermy do jej wnętrza, w jej świadomości to, co robili razem, wystarczyło, by myślała o nim jako o swoim kochanku. Była już wchłonięta w jego ciało, jak wędrowiec w lotny piasek na pustyni.

— Wiesz, co czuję do ciebie — mówi Fiona.

— To minie — odpowiada on — trzeba tylko czasu.

Gdy dzwoni telefon, on zrywa się z kanapy szybko jak zwierzę wyskakujące z uchylonej klatki. To Helen, jego żona. Fiona wie o tym, jeszcze zanim on podniesie słuchawkę, zanim skurczą się jego ramiona, zanim zrobi dwa kroki w jed-

na, potem dwa kroki w drugą stronę, przywiązany jak na smyczy skręcającym się przewodem telefonicznym. Słyszy, jak zmienia się jego głos, jak staje się bardziej miękki; ten głos jest teraz intymny, poufały. Takim głosem nigdy nie mówił do niej. Obserwuje go, jak prze- stępuje z nogi na nogę przy łóżku, na którym narzuta rozciągnięta jest teraz gładko jak warstwa lukru na powierzchni świeżego ciasta.

— Cześć, co u ciebie? — pyta. — Tak... tak... nie. Nie. Oczywiście, Helen. Tak. Jutro. Tak... nie, to przede wszystkim. Mmm... Nie wiem. Nie. Nie.

Fiona zamyka oczy. Proszę, myśli, proszę, tylko odwróć się i spójrz na mnie. Tylko tyle, nic więcej. Tylko odwróć się i spójrz na mnie teraz, gdy rozmawiasz z nią; pozwól mi poczuć, że jestem częścią tego, co się tutaj dzieje.

On nie patrzy na kobietę siedzącą na kanapie. Stoi w smudze światła lampy przy łóżku, światła, które padało na ich twarze i ciała poprzedniej nocy, obsypywało ich jak pyłek kwiatów. Nawet nie zerka na nią ani nie pochyła ramion w jej stronę. Gdyby nie mówił monosylabami, można by sądzić, że jest w tym pokoju zupełnie sam, tylko z głosem swojej żony. Fiona uświadamia sobie, że z tymi pochylonymi ramionami jego ciało odwróciło się od niej, że osłania swoją żonę przed nią — jak rodzice osłaniają dziecko przed chłodem lub ciemnością czy przed zazdrosnym wzrokiem bezpłodnego nieznajomego.

— Co?... Nie. Nie. Wszystko w porządku.

Fiona domyśla się, że jego żona pyta, dlaczego rozmawia z nią w taki sposób. Gdyby Helen była w tym pokoju, zrozumiałaby od razu; zobaczyłaby cień sylwetki swego męża zwinięty wokół telefonu, wokół jej głosu, by utrzymać go w bezpiecznej odległości od kobiety, która siedzi zupełnie blisko na kanapie przy oknie, idealnie cicha; która nie wydaje najmniejszego dźwięku. Kobiety która mogłaby go wydać, mogłaby wykrzyknąć jego imię, imię jego żony, która, pokonując barierę ochronną w postaci jego ciała i odległości, mogłaby wypowiedzieć swoje własne imię: Fiona!



Zastanawia się, co mogłaby zrobić, zanim on zareaguje, czy zdążyłaby krzyknąć: „Kocham twego męża”? Czy zdołałaby powiedzieć: „Helen, Helen, ja go kocham”. Co by wtedy zrobił?

— Nie, nic złego... Tak. Jak Boga kocham.

Fiona, mimo że nie rusza się z kanapy, czuje, jak traci równowagę. Myśli, że teraz wystarczyłoby, gdyby on obrócił się o kilka stopni, spojrział na nią, uświadomił sobie jej obecność, a ona poczułaby się lepiej. Jeśli tego nie zrobi, ona może otworzyć usta, tak samo jak otwierała je, by wziąć w niego jego członek, gdy rozchyłał uda; może otworzyć usta i za pomocą zaledwie kilku słów znaleźć się w życiu Helen.

— Tak, tak. Będę. Ja też cię kocham — mówi do kobiety po drugiej stronie słuchawki. — Jutro wracam do domu.

Fiona lekko uniosła się poza obręb swego ciała i teraz patrzy na samą siebie, siedzącą na kanapie w łagodnie oświetlonym pokoju. Przed nią, na szklanym blacie, stoi do połowy opróżniona butelka wody mineralnej, a ona odczuwa gwałtowną potrzebę odnalezienia nakrętki, która pasowałaby do butelki, zakręcenia jej i odstawienia z powrotem do barku. Rozgląda się, ale zakrętki nigdzie nie ma; być może on ją wyrzucił. Dostrzega ruch płatków przywędłej róży, lekko drżących ponad miejscem, w którym kwiat odbija się w wypolerowanym drewnie stolika; ten ruch jest ledwie zauważalny. Światło lampy w pokoju ma taki sam ciepły, złocisty odcień jak światło w jej rodzinnym domu w ubogiej dzielnicy, gdzie dorastała. Nadaje ono hotelowemu pokojowi wrażenie intymności, którego, jak jej się zdaje, on wcale nie odczuwa. Ale przecież jego wspomnienia związane ze światłem mogą być zupełnie inne.

— Ja też cię kocham — słyszy, jak on powtarza jeszcze raz, nie będąc pewna, czy rzeczywiście to mówi, czy jest to tylko echo słów wypowiedzianych przed chwilą. Raymond pochyla się nad stolikiem stojącym obok łóżka, przesuwa ręką po włosach. Fiona obserwuje go, jak rozmawia, jak trzyma usta bardzo blisko słuchawki. Jeśli nawet się boi, nie okazuje strachu. Jego głos nie drży. Jest doskonałym kłamcą. Podejrzewała to już, gdy spotkali się po raz pierwszy za

miastem, podczas uroczystości wręczania nagród. Przemawiał wtedy płynnie i w czarującym sposób, jak zwykle robią to ludzie pozbawieni moralnych skrupułów. Nie przywiązywał do tego żadnej wagi; dwa tygodnie później, gdy przyjechał do miasta, w którym mieszkała, jego kamienna, chłodna twarz stała się miękka w jej dłoniach, a jego usta rozchyliły się na jej wargach. Teraz ona obserwuje go, jak bierze długopis— reklamówkę hotelu, pstryka nim trzykrotnie, odkłada z powrotem na stolik. Znowu rozpoczyna swój spacer. Jej natomiast wydaje się, że słyszy, jak on powtarza: „Ja też cię kocham, ja też cię kocham”. Z rozmysłem nadał ciepło swemu głosowi, gdy to mówił. Ona przypuszcza, że są jedną z tych par małżeńskich, które składają sobie przysięgę, że kiedykolwiek będą wyznawały sobie miłość, wyznanie to nigdy nie będzie brzmiało jak zamówienie kierowane do obsługi hotelowej czy przywołanie dozorczyńni.

Wreszcie on odkłada słuchawkę i wraca na kanapę. Fiona odchrząkuje, jak gdyby miała rozpocząć przemówienie, prostuje się, obciąga na kolana brzeg spódnicy, opuszcza ręce. On siada i patrzy na nią, czeka, aż ona się odezwie. Jego twarz jest zupełnie pozbawiona wyrazu.

Poprzedniej nocy, gdy obejmował jej nagie ciało, pociągnął ją za włosy i powiedział:

— Zrywając ze mną, zadasz mi ból. Błagam, gdy będziesz to robić, niech się to odbędzie szybko. I nie wciągaj w nic Helen.

— O Boże — odpowiedziała — nie chcę zrobić niczego, co mogłoby cię zranić.

Ich ciała wydawały się opalone w świetle lampy, którą pamiętała ze swego dzieciństwa; kiedy pochyliła się nad jego twarzą, ujął zębami brodawki jej piersi, a na jej skórze pozostały wilgotne smużki jego łez.

Teraz jest inaczej. Ona wie, że tym razem on naprawdę tak myśli. Patrzy na nią i czeka, co powie lub zrobi. Milczy, a on patrzy w okno, na miasto stojące u progu nowego stulecia. Surowe i szare, jak z powieści Orwella. A jednak pokój hotelowy na trzydziestym piętrze jest przytulny; będąc tu ubiegłej nocy, Fiona jednym płynnym ruchem zdjęła bluzkę i biustonosz, jakby tym gestem chciała

powstrzymać wszelkie przeciwności. Żar rozpalał ich usta i ciała, pomalowane światłem lampy na złoty kolor, jak do występu na cyrkowej arenie podczas tournée po Francji. Wszystko, co ludzkie, było tam obecne; tymczasem dziś podejrzewa, że w jego twarzy znalazłaby tylko chłód. Prawdopodobnie cofnąłby się przed jej dłonią, jak gdyby pomiędzy kciukiem a palcem wskazującym miała zatrute ostrze, którym mogłaby zaciąć go w policzek.

Mijają długie chwile, wystarczająco długie, by dać mu jeszcze jedną szansę, tę, którą mógłby wykorzystać, by powiedzieć, że znajdzie dla niej miejsce w swoim życiu. Ona obiecuje sobie, że jeśli tak się stanie, mimo wszystko nigdy nie zrobi niczego, co mogłoby go zranić. Znów dzwoni telefon; on podrywa się z kanapy, jakby właśnie nadszedł dla niego ratunek.

— Cześć, jak się masz — mówi znowu. — Tak... tak, Helen, obiecuję. Nie, wszystko jest w porządku. Naprawdę. Tak. Będę... tak. Wiem, że... Posłuchaj, mogę zadzwonić za chwilę? Za minutę. Tak. Zaraz do ciebie zadzwonię.

Raymond odkłada słuchawkę, Fiona wstaje. Czuje, że czegoś zapomniała, ale przecież miała ze sobą tylko torebkę, która wisi na jej ramieniu. Jest gotowa; wygląda na to, że ma ze sobą wszystko.

— Zdaje się, że powinnam wyjść — mówi.

— Tak — słyszy w odpowiedzi.

Stoją teraz oboje pośrodku pokoju hotelowego. Ona wie, że gdy tylko wyjdzie, on podniesie słuchawkę i zadzwoni do żony. Jest także pewna, że będzie miała dość siły, by dojść do drzwi, przejść wzdłuż korytarza, potem do windy, nie wydając przy tym żadnego dźwięku. Wie, że uda się jej tego dokonać dzięki sile, jaką jej dał, gdy odwracając się do niej plecami, powiedział:

„Kocham cię” do innej kobiety; zacisnęła tylko usta, aż jej wargi stały się zupełnie białe.

Fiona spleta ręce wokół jego ciała. Raymond obejmuje ją pospiesznie, jakby była mu całkiem obca, odpycha ją, cofając się tak gwałtownie, że ona, jak przez mgłę, widzi swoje własne ręce zsuwające się po jego ciele; widzi, jak ręka, która

obejmowała go za szyję, teraz jedynie ociera się o jego obojczyk, widzi tę rękę powracającą na swoje miejsce wzdłuż jej ciała.

Podchodzi do drzwi. On zamyka je za nią i głośno przekreca klucz w zamku; ten dźwięk rozlega się wyraźnie w panującej dokoła ciszy. Ona pokonuje drogę wzdłuż korytarza, wsiada do windy, przechodzi przez recepcję, mija gońców hotelowych, biznesmenów, przechodzi obok par małżeńskich i samotnych kobiet. Widzi kompozycje kwiatowe, marmurowe powierzchnie i mosiężne przyciski, szklane drzwi prowadzące na wolność, a potem ciemne miasto, w którym taksówka podjedzie do niej, otworzą się tylne drzwi, a potem odskoczą, jakby zostały zwolnione ze sprężyny. Idąc w stronę wyjścia, słyszy stukot obcasów na gładkiej, twardej powierzchni. Po chwili zdaje sobie sprawę, że jest to odgłos jej własnych butów. Wydaje się jej niewiarygodne, że w końcu wydaje jakiś dźwięk.

---

## 2.

Twoja szyja z tyłu, w miejscu, gdzie delikatne loczki wyrastały jak młodziutkie pędy paproci, miała charakterystyczny zapach. To właśnie tam wszystko się zaczęło, od tego miejsca na twoim ciele, z którego wchłaniałam w siebie tę woń, połykałam zachłannie, aż do całkowitego oszołomienia, aż cały pokój wirował wokół mnie.

Reszta twego ciała wyłaniała się dla mnie stopniowo w różnych miastach, w których padał śnieg lub deszcz albo słońce świeciło jak ogromna lampa, której nie mogliśmy dosięgnąć i zgasić. Lśniące białka twoich oczu i dwie niebieskie tęczęwki wpatrujące się w moją twarz; dotyk twej całkiem nagiej, białej skóry, rozpalonej na moim policzku, zanim odepchnąłeś mnie od siebie i mocno zacisnąłeś obie dłonie z tyłu, za sobą, jakby były skrepowane kajdankami. „Nie. Proszę, odejź”. I wreszcie całe twoje ciało o świcie, ciepłe i rozleniwione, gdy wy-

ciągałam ci koszulę ze spodni, by móc położyć na twoim brzuchu swoją twarz, która unosiła się, w miarę jak oddychałeś.

Słońce unieruchomiło na poduszce twoją twarz, pomalowało na złoty kolor; przypominała biżuterię wyłożoną na aksamitnej podstawce w witrynie śródmiejskiego sklepu. Wydawało się, że twoje włosy płoną, a ciało, gdy spoglądałam od drzwi łazienki, w blasku nagle rozbudzonego dnia, spowite w prześcieradła, wyglądało, jak gdyby stało w płomieniach, których języki przesuwwały się po nim, od głowy aż po stopy.

Tego wieczoru, gdy się poznaliśmy, deszcz spływał strużkami po szybach żółtej taksówki, która zatrzymała się przed budynkiem, gdzie odbywała się uroczystość wręczenia nagród. Być może już wtedy wiedziałam, że dokona się jakaś zmiana, kiedy tylko drzwi się otworzyły, prowadząc do pomieszczenia wypełnionego śmiechem i dźwiękami kieliszków, kiedy weszłam do środka, pozostawiając za sobą na podłodze spływające krople deszczu. Nieco później, tego wieczoru, stałam przed wejściem do damskiej toalety, gdy ty zjawiłeś się w końcu korytarza. Stałeś spokojnie na szczycie schodów, na tle kłębiących się za twoimi plecami ludzi, których usta, rozjaśnione zdawkowymi uśmiechami, zamykały się na brzegach kieliszków z winem. Czy przystanąłeś, by zastanowić się nad czymś? Uśmiechałeś się do mnie, przelotnie, niepewnie. Oparta o ścianę, w wirze rozmów, papierosowym dymie i śmiechu nagle poczułam się onieśmielona. Oszołomiona obejrzałam się za tobą, gdy przeszedłeś obok mnie.

\*

Dwa dni później, na krótko przed moim odlotem do domu, podawałeś mi płaszczyz w hotelowym barze i opowiadałeś o swojej żonie w sposób, który dawał mi do zrozumienia, czego mogę się spodziewać. Już wtedy wiedziałam, że będę siadywała z tobą w holach pod żyrandolami, nigdy przy kominkach czy na kanapach w pokojach gościnnych domowego zacisza. Zawsze będą kelnerki w długich zielonych sukniach przesuwające się bezszelestnie w stronę naszego stolika; mężczyźni o posepnych twarzach, ubrani w garnitury i z kosztownymi zegarkami na rękach; kobiety w biżuterii upiętej wokół dekoltów i nadgarstków, przetykanej przez dziurki w uszach, z włosami krótko obciętymi i ułożonymi w geome-

tryczne fryzury, z powiekami ciężkimi od makijażu. Pod przeszkłonymi sufitami będą kwitły chryzantemy. A koktajle, przyprawione orzechami i pomarańczami, oraz nocne godziny, jedna za drugą, będą tylko przelewały się przez głębokie kieliszki, budząc jedynie coraz większe pragnienie. Choć o tym wszystkim wiedziałam od samego początku, i tak byłam zrozpaczona. Twoje dwa palce, którymi dotykałeś mego policzka, na długo wtopiły się w moją skórę, niby piętno posiadania.

Było to tuż zanim odkryłam, że wszyscy mężczyźni mają w sobie coś, co przypominało mi ciebie. Subtelny zapach ich ciał, czysty jak woda; delikatna skóra wokół oczu, niby wilgotne, wątłe fiołki, czy napięta mocniej na kościach policzkowych. Były to ich gęste włosy w opaskach słonecznego światła albo sposób, w jaki biegli ulicą, by przywołać taksówkę; ich czarne buty podnoszące się i opadające na chodnik, wiatr żeglujący w garniturach. Za każdym razem, gdy w ciągu dnia mężczyźni mijali mnie na ulicy, a głowy ich żon o rozjaśnionych włosach wsparte były na ich ramionach, myślałam o tobie.

Gdy przyszedłeś mnie odwiedzić, w wyobraźni widziałam twoją skórę, dopiero co pieszczoną przez twoją żonę. W podświadomości słyszałam, jak skarży się na chłód, widziałam, jak ty otulasz kocem jej ramiona, jakby była dzieckiem, splatasz ręce wokół jej pleców, w zapamiętaniu przyciskając ją do siebie, zupełnie tak samo jak przytulałeś mnie. Znowu dostrzegłam złotą obrączkę na twoim palcu, gdy w świetle dnia twoja dłoń spoczywała bez ruchu na białym prześcieradle hotelowego łóżka.

Pierwszej nocy, którą spędziliśmy razem dwa tygodnie po tym, jak się poznaliśmy, nie robiliśmy nic innego, tylko spaliśmy w swoich ramionach.

Rano, gdy leżałam na tobie w hotelowym łóżku, a skrzypiące jak śnieg prześcieradła były owinięte wokół nas, ujęłam twoją dłoń w obie swoje ręce. Na komodzie, w nogach łóżka stało ogromne lustro. Zauważyłam, jak odwracasz głowę, nie mogąc znieść naszego widoku. Jak wyglądaliśmy razem, ty i ja. a wokół nas rozrzucona hotelowa pościel? Czy nasz związek miał szansę przetrwać? Nieco później tego dnia przyjrzałam się nam, gdy przechodziliśmy przez salę recepcyjną obok szklanych gablot nabitych futrami i biżuterią. Lustra w holu były tak



idealnie wypolerowane, że wokół ich krawędzi widniały zielone refleksy; zerknęłam w jedno z nich, gdy się zbliżyliśmy. Szliśmy dość szybko, więc dostrzegłam tylko nasze czarne ubrania i swoją uśmiechniętą twarz zwróconą w twoją stronę. Wyglądaliśmy oficjalnie i byłam zdumiona, że w lustrze nie widać żadnych śladów naszej transformacji, że ktoś mógłby przejść obok, widząc w nas tylko jeszcze jedną z tych par, które przyjechały, by wziąć udział w konferencji lub załatwić sprawy służbowe.

Dziewięć miesięcy później, około północy, siedziałam sama w klubie, a moje myśli o tobie układały się w rytm melodii *Znów te słowa. Znów ten ból*. Ciała striptizerów były jeszcze bardzo młode, białe niczym mięso dorsza czy soli, płasały na scenie otoczonej przez mężczyzn. Twoje ciało stało się nagle tak piękne i całkowicie niedostępne, jak ciała tych chłopców; ich stopy zdawały się unosić nad podłogą, mieli wąskie biodra, płaskie brzuchy, delikatne dłonie. A jednak, gdy noc z wolna przemijała, spostrzegłam, że nie wszyscy chłopcy byli tak doskonali. Niektórzy z nich, starsi, nie mogli już ukryć upływu czasu mimo wspaniałej rzeźby mięśni i wydatnych zgrubień wewnątrz kolorowych slipów. Jeden z nich był wręcz nieatrakcyjny; miał okulary o grubych, matowych szklach. Wyglądał śmiesznie, gdy tak tańczył dla mężczyzn znacznie bardziej interesujących od siebie, i chociaż zatrzymywał się przed każdym gościem, poruszając biodrami, żaden z nich nie wyciągnął w jego stronę palców z okręconym wokół nich banknotem. Jego partner nie mógł mieć więcej niż metr siedemdziesiąt wzrostu; miał mysią twarz, ale to właśnie on podobał się najbardziej. Skupieni wokół niego mężczyźni sięgali powoli, jak gdyby pokonując warstwę wody, w jego stronę, pociągali za tasiemkę slipów, muskali jego satynowe ciało, wsuwając mu pieniądze. Jego starszy partner ciągle tańczył z cieniem desperacji przemykającej przez czoło, okulary zsuwały mu się coraz niżej, gdy tak bezskutecznie, wręcz bez nadziei, przeżył mięśnie ud i pośladków.

Mężczyźni z mankietami swych dżinsowych kurtek obciągniętymi aż po nadgarstki odwracali się, przechodzili obok mnie w czerwonym, zadymionym półmroku. Przy barze alkohol z sokiem owocowym strzelał do szklanek, rozbijając się o kostki lodu. Transwestyci, z grubymi kreskami wokół oczu, kośćmi policzkowymi jak ostrza tasaków, balansowali na silnie zbudowanych nogach, ob-

ciągniętych skórzanymi spódniczkami w kolorze czerwonym, czarnym czy cukierniczym różu. Ich męskie twarze były wulgarnie, lecz jednocześnie, za sprawą makijażu, tak bardzo kruche, że zastanawiałam się, czy nie popękają od dotknięcia; szminki rozmazane, spływający tusz do rzęs; te twarze były wykrzywione w bólu. Wydawało się, że wszystko to, co na nich namalowali i co naciągnęli na swoje ciała, było deklaracją słabości, że każdy z nich miał w sobie jeden taki punkt, którego naciśnięcie spowoduje natychmiastową eksplozję. Myślałam o tej nocy, gdy straszylałam cię, że zakuję twoje ręce w kajdanki, swoje pozostawiając nieskrępowane; miałam do dyspozycji tylko swoje ciało, którym z desperacją naciskałam na twoje, jak transwestyci, którzy napierali swymi ciałami na chwiejący się bar. Twoje włosy, delikatne jak puch, usta wędrujące między moimi piersiami. Światło, które wpadało przez okno, oblewało blaskiem twoją głowę i butelki dzwiczące w otwartym barku. Prześcieradła na łóżku za tobą, wygniecione jak długo noszony list, gdy dotykałeś ustami jednej, a potem drugiej brodawki moich piersi. Klęczałeś, twoje włosy były jasne niby pierwszy śnieg, który spadł tej zimy. Twój sztywny członek, wyprostowany, jakby miał przynieść spełnienie, naciskał na mój brzuch, a splątane włosy na naszych łonach były nie do rozróżnienia, jak zlewające się cienie.

Transwestyci, pod sztucznymi maskami, z trudem skrywali swoje prawdziwe, pełne niepokoju twarze. Nie wiedzieli jeszcze, jak ich oczy, obrysowane czarnym tuszem w płynie, mają zachęcić kochanków, którzy będą chcieli zobaczyć te oczy wypełnione po brzegi łzami; którzy wymierzą brutalny cios w te twarde kości policzkowe i zaraz potem odejdą.

Wierzyłam w cuda jak dziecko. Wierzyłam w nie jak dziecko, gdy wsuwałam dłoń między twoje nogi. „Czy kochasz swoją żonę? Tak, kocham ją. Czy za dziesięć lat ciągle będziesz jej mężem? Tak. Myślę, że tak. Dlaczego pytasz? Muszę wiedzieć. Czy miałeś już jakieś romanse? Tak, to nie pierwszy raz, to mi się przedtem zdarzało”.

Piliśmy whisky z małych buteleczek; za każdym razem, gdy otwierałeś jedną z nich i podawałeś mi, nasze palce się dotykały. Wyglądały jak dziecięce, deli-



katne, króciutkie. Nagle wstałeś i zaciągnąłeś zasłony, chociaż znajdowaliśmy się na piętnastym piętrze.

(Zdarzyło mi się patrzeć, przez silnie powiększający teleskop, z mieszkań innych mężczyzn. W obiektywie widziałam kobiety o potarganych włosach siedzące przed telewizorami w swoich mieszkaniach po drugiej stronie portu. Rozpознаwałam neony galerii sztuki i sklepów z perskimi dywanami po przeciwnej stronie mostu i wzdłuż głównej ulicy. Przyglądałam się rzędom komputerów i postaciom dziennikarzy, poruszających się pomiędzy nimi w budynku prasy w nocnej anonimowości miasta. Kierowałam obiektyw teleskopu na wodę i widziałam mętny, cętkowany fiolet jej głębin, gdy dłonie mężczyzny przesuwają się wzdłuż moich chłodnych, obnażonych ramion.)

„Czy kochasz swoją żonę? Tak”. Jej włosy unoszone delikatną bryzą, spływające na policzki, pomiędzy wargi. Jej włosy w twoich dłoniach, zgarnięte do tyłu głowy. Jej włosy rozsypane wachlarzem na twoim brzuchu i między twymi udami. Dotykasz jej. gdy to robi, gdy osuwa się na twoje ciało i to robi. Gładzisz jej skronie, gdy bierze cię w usta i ssie. Nie przerywasz zbliżenia. Wiem. Gdy rozpięłam twoje spodnie, nie byłam przygotowana na niespodziewaną nagość twego ciała, aksamitnego i twardego w mojej dłoni. Z ufnością dziecka, które wierzy w cuda, uklękłam przed tobą. Gdy otoczyłam wargami twój członek tuż przy kępce włosów, jedna chwila zmieniała się nieodwracalnie w następną, przeczała się tak ciężko, że wydawało mi się, iż słyszę odgłos jakiegoś przedmiotu łamiącego się pod naciskiem tego ciężaru.

„Nie ma gorszej rzeczy niż obsesja”, powiedziałeś w holu. w którym woda ze sztucznego wodospadu płynęła miękko i nieprzerwanie za naszymi plecami. Mówiąc to, uśmiechnąłeś się i pociągnąłeś łyk ze szklanki. Wiedziałeś o tym doskonale.

Być może było to tylko moje przeświadczenie, że nigdy mnie nie opuścisz, nie po tym, co zrobiłam, nawet gdy potrząsałeś głową, odciągając mnie od swego

członka, który wydzieliał ledwie uchwytny zapach snu, niezwykle delikatną woń uryny, niby skropiona perfumami szata.

Kiedyś pewnego mężczyznę przywiązałam rzemieniami, przeplatając je między mosiężnymi poprzeczkami łóżka. Zakneblowałam mu usta, śmiałam się, gdy krew zaczęła sączyć się z jego sutków. Kostki przy stopach miał blade do tego stopnia, że przybrały odcień zieleni. Czy pomyślałam o tamtym mężczyźnie, sięgając dłonią, by dotknąć, tuż ponad kostką, twojej nagiej stopy spoczywającej na stoliku, wystającej pod skórą kości tego wrażliwego, delikatnego, lecz jakże doskonałego w swej konstrukcji stawu? Czy wyobraziłam sobie twoją kostkę opasaną czarnym rzemieniem w budzącym się, od strony okna, dniu, gdy leżałeś w hotelowym łóżku, z rękoma rozłożonymi po obu stronach ciała, twarzą wznoszącą się ponad tak rozpostartymi, niby u orła, kończynami? Czy błagałbyś o litość? Czy broniłbyś się? Czy próbowałbyś uciec? Wyobrażałam sobie, że ty leżysz spokojnie; twoje nadgarstki pokryte warstewką potu, skrępowane w skórzanych więzach. Podeszłabym blisko, tylko po to, by dotknąć twoich włosów, by położyć twarz na twoich piersiach i usłyszeć rytm twego serca. Pozwoliłabym sobie jedynie na to, by pocałować cię w szyję, ujmując w dłonie twoją twarz, która byłaby tak piękna, że już sam jej widok sprawiłby mi ból.

Czułabym to samo, co transwestyci o odrażająco otwartych twarzach, gdy patrzyli na swych zuchwałych kochanków, a serca ich miały się za ogromnymi sztucznymi biustami. „Znów te słowa”. Chłopcy wykręcający swoje giętkie ciała na otoczonej gapiami scenie. Nie pozwoliłabym na to, by ktokolwiek cię zranił. Twoja biała, grzeczna twarz na poduszce ledwie rozgrzana ciepłem światła, które ponad meblami wlewało się do pokoju hotelowego. Zawsze oddychałbyś równomiernie, mrugał w regularnych odstępach, patrząc na mnie odpoczywającą na twoim ciele. Zapach twego ciała — ożywczy, naturalny; gdy leżysz tak, poświata wokół twoich nadgarstków i dłoni przybiera kształt aureoli, a kości twojej twarzy wyglądają, jak gdyby ktoś kunsztownie ułożył je na poduszce.

„Czy kochasz swoją żonę?”

„Kocham ją”.

Zjeżdżając windą, całowaliśmy się. Miałeś konserwatywny, opanowany wygląd. Próbowałam patrzeć na ciebie tak, jakbyśmy byli sobie obcy. W rzeczywistości nigdy nie byłeś aż tak przystojny jak kompozycja, którą złożyłam w swojej pamięci podczas twojej nieobecności z poszczególnych cech różnych mężczyzn, spotykanych w kolejce w aptece, na przyjęciach, gdy śmiejąc się, sączyli swoje drinki, mężczyzn, którzy energicznym krokiem krążyli pomiędzy salami konferencyjnymi śródmiejskich hoteli, z zamkniętymi na kluczyk teczkami. A jednak, ponieważ byłeś żywy, z realnym zapachem i pulsem bijącym pod skórą, ponieważ każdy twój ruch był cudem impulsu komórek nerwowych, metodycznego myślenia, doświadczenia, twoje wnętrze było jeszcze piękniejsze od każdego z wyidealizowanych wizerunków twojej osoby, które stworzyłam w swojej wyobraźni, a które przeglądałam wielokrotnie podczas samotnie spędzanych godzin, przesyconych barwami mego pożądania. Twój obraz był wypieszczony niby fetysz — but czy rękawiczka — przedmioty reprezentujące ich niestałego, napawającego niepokojem właściciela. A jednak zazdrościłam fetyszyście skuteczności jego zaklęć, jego cennych życiodajnych przedmiotów, przesiąkniętych ulubionymi zapachami. Moją wyłączną pasją stało się koncentrowanie na tobie, jak soczewka w obiektywie teleskopu skupiała się na kobiecie wpatrującej się w telewizor w jej niechlujnym mieszkaniu.

W ciągu dnia byliśmy uporządkowani. Wystarczyło spojrzeć na nas zjeżdżających windą. Niewyraźny kontur twojej postaci błyszczał w mosiężnej okładzinie ściennej — ciemnogrnatow) garnitur, biała koszula. To ja nie mogłam dostrzec swego odbicia w ciemnych drzwiach windy. Ciągłe się rozstawaliśmy, z przerażającą łatwością, gdy winda zatrzymywała się na jedenastym piętrze, by zapełnić się masywnie zbudowanym mężczyzną w średnim wieku i kobietą w sukni w dyskretny wzór. Pozostała część drogi, w towarzystwie tych zupełnie obcych osób, wydawała się jeszcze bardziej krępująca niż zwykle, jakby tamci mieli świadomość, na podstawie chwilowych przeczuć, że czemuś przeszkadzili, dopuścili się swego rodzaju naruszenia prywatności. Patrzyliśmy prosto przed siebie i utrzymywaliśmy dystans między naszymi ciałami. Uniosłeś rękę, by podrapać się w brodę, tylko raz, rzucając spojrzenie na poślaczane odbicie swojej

twarzy ponad przyciskami windy, być może przezornie szukając śladu szminki — zdradzieckiego znaku.

(Pewnego ranka opuściłam cię, gdy tylko świeże światło słoneczne zaczęło wlewać się do pokoju hotelowego przez okno znajdujące się z tyłu, za twoją głową. Zostawiłam cię z muśnięciem szminki w kolorze czerwonego wina, na twojej koszuli, tuż nad sercem. Wiedziałam, że zauważysz to dopiero później, lecz z pewnością jeszcze przed powrotem do domu — w łazience, pakując szczoteczkę do zębów i przybory do golenia, w ogromnym lustrze szafy, gdy będziesz ją otwierał, by wyjąć garnitur, na dole w recepcji albo w samolocie pod wpływem natarczywego spojrzenia stewardesy czy potem dozorczyńni. Mimo to miałam nadzieję, że jakimś trafem niczego nie zauważysz, że będziesz podróżował tysiące kilometrów do domu, do swojej żony, z tym śladem szminki wessanym w ciebie niby pijawka, dojrzała, lecz nie dająca się odczepić, czekająca na parę niebieskich oczu twojej żony.)

Zjeżdżaliśmy w dół razem, każde do innego samochodu. Obserwowałam, jak odchodzisz, przez dwie szyby — przednią szybę mojej taksówki i tylną twego samochodu. „Proszę jechać za tamtym samochodem”, chciałam krzyknąć. „Za tym mężczyzną, którego włosy mają kolor popiołu”. Twój samochód zakreślił łuk na podjeździe przed hotelem i wyjechał na ulicę. Moja taksówka jechała tuż za tobą, nieświadomy niczego kierowca z uwagą obserwował tylko nadciągającą chmurę i wyświetlane na monitorze wezwania od kolejnych klientów. Wpatrywałam się przez te szyby w tył twojej głowy Jakby siła mego wzroku mogła sprawić, że zmienisz plany na wieczór i odwrócisz bieg swego życia.

Proszę jechać za tamtym mężczyzną. Ta myśl wywoływała tylko mój uśmiech. W rzeczywistości w tym wszystkim nie było niczego nadzwyczajnego — dwa samochody, jeden z nich to taksówka, które na krótką chwilę znalazły się na tej samej śródmiejskiej ulicy, odjeżdżając sprzed uczęszczanego hotelu. Twój samochód zjechał na inny pas, sygnalizując skręt tylnym migaczem, gdy zwalniał przed skrzyżowaniem. Taksówka pomknęła prosto, w kierunku mostu.

Ciągle odchodziliśmy od siebie. Podnosiłeś rękę, zanim wsiadłeś do samochodu, do mnie kierując ten ryzykowny, wiele znaczący gest, gdy wokół nas por-

tierzy w liberiach z mosiężnymi guzikami otwierali drzwi i przerzucali bagaże na wózki z połączonymi stelażami. Ruch uliczny pozostawał z tyłu, za tobą, łącząc się i rozdzielając, zawsze według takiego samego wzoru. Rzeka pojazdów przepłatała się na ulicy, na której frontony sklepów połyskiwały skórzanymi torebkami z ozdobnymi inicjałami oraz biżuterią, wyeksponowaną jak ludzkie twarze, które zwracały się w kierunku dziennego światła. Resztki promieni słonecznych mogły błyszczeć jeszcze przez chwilę między dwiema chmurami, a potem zniknąć, jak ty znikales we wnętrzu swego samochodu, a ja we wnętrzu swego, każde z nas pochylając ciało w kierunku innego miejsca przeznaczenia.

Była jesień, gdy odchodziłeś po raz ostatni, ulice osłonięte baldachimami z pożółkłych liści, pod pokrywą niebieskiego nieba. Gdy spotkałam cię po raz pierwszy, w zupełnie innym mieście, była wiosna i padał deszcz. „Nie opuszczaj mnie”, chciałam powiedzieć do ciebie po tamtej nocy, ale nigdy tego nie zrobiłam. Zamiast tego, podchodziłam do okna i wyglądałam na miasto, które właśnie wybraliśmy na miejsce naszego spotkania. W ulicznych studzienkach bulgotały strumienie deszczu albo słoneczne światło malowało jasne kwadraty na ścianach, liście drżały na gałęziach lub nagie konary przypominały szkice węglem przedstawiające zimę. Było mi to obojętne. Zamykałam oczy i w mroku oddychałam wprost na twoje ciało w tym jednym jedynym pokoju hotelowym, w którym akurat byłeś.

---

### 3.

W ciągu kilku kolejnych miesięcy po rozstaniu Fiona większość nocy spędzała w barze, zaglądając w twarze otaczających ją mężczyzn, starając się odkryć, czy któryś z nich przypomina jej tego, którego kocha. Czasem, po kilku podwójnych szkockich, udało się jej znaleźć kogoś takiego. Zdarzało się, że cechy przypominające Raymonda dominowały nad cechami tego obcego mężczyzny, a wówczas triumfowały wspomnienia i przez króciutką chwilę myślała, że on wró-



cił. Natychmiast zamawiała kolejnego drinka, usiłując zatrzymać złudzenie na dłużej. Gdy była pod wpływem alkoholu, czuła się prawie tak dobrze, jak w czasie jednego z tych snów, w których on odgarniał jej włosy znad czoła, mówiąc, że popełnił błąd, że teraz wie, że ją kocha, i że dla niej zostawi żonę. Jej upojenie przechodziło przez kilka etapów, co sprawiało, że czuła się jak w samym środku snu, a gdy zauważyła, że warstwy ochronne powoli rozpraszają się i zaczyna wdzierać się światło, wiedziała, że musi zamówić kolejnego drinka.

Zawsze jednak był taki moment, kiedy dostrzegała, że mężczyźni w barze ledwie go przypominali, że gdy odwracali się profilem w jedną lub drugą stronę, był on zupełnie niepodobny do jego, albo że mieli zbyt szerokie talie lub ramiona; często po dokładnym przyjrzeniu się okazywało się, że ich twarze były pokryte zmarszczkami, a włosy na czubku głowy przerzedzone. I wówczas znikał ten puls pożądania, który zaczynał się w niej budzić, i przeciskała się między stolikami w kierunku migoczącego ponad schodami neonu wskazującego wyjście. Gdy wreszcie znalazła się na ulicy, będąc już z dala od stłamszonych ciał, powietrza zabarwionego nikotyną i reklamowych neonów piwa jarzących się na ścianach, uświadamiała sobie, jak bardzo zadymiony i gwarny był bar. Na zewnątrz często padał deszcz, ostre powietrze przypominało o dreszczu, a chodniki były twarde i szkliste. W tym świecie panowały wyłącznie taksówki, które przemykały w górę i w dół ulicy z włączonymi światłami i wycieraczkami ślizgającymi się miarowo, w przód i w tył, po przedniej szybie.

Mijały dni i tygodnie. Nie potrafiła odczuwać niczego, chyba że znajdowała się pod wpływem alkoholu. Gdy wracała do domu ze swojej pracowni albo z zajęć, które prowadziła w college'u, kierowała swe kroki prosto do barku. Zaczęła unikać przyjaciół, z których wszyscy mieli partnerów i którzy reprezentowali wszystko, na co ona miała nadzieję, lecz ją straciła. Czasami była przekonana, że ich związki, podobnie jak jej, zbudowane były na oszustwie i zdradzie, że każdy, kogo znała, dopuszczał się cudzołóstwa, lecz doskonale skrywał tak dobrze jej znaną obsesję w stosunku do tej trzeciej osoby, z którą związał się poza własnym małżeństwem. Nie była zdolna słyszeć żadnej rozmowy, być świadkiem żadnego zdarzenia bez odnoszenia ich do swego romansu z Raymondem.

Któregoś wieczoru, nie mając na to większej ochoty, zaprosiła do domu na obiad pewne młode małżeństwo. Żonę, rzeźbiarkę, poznała na otwarciu galerii. Jej mąż miał zwyczaj gestykulować entuzjastycznie, gdy mówił podczas posiłku. W pewnej chwili odłożył nóż i widelec dla zilustrowania rękoma tego, co opowiadał, i głośno uderzył obrączką o szklany blat stołu.

— Och, przepraszam — powiedział, z niedowierzaniem patrząc przez chwilę na swoją dłoń. Obrączka na jego palcu była ciągle zbyt nową, dopiero od niedawna częścią jego ciała, nie potrafił więc panować nad nią w taki sam sposób, jak nad swoim dużym palcem od nogi, który z łatwością umiał ochraniać przed uderzeniem o stół.

Fiona obserwowała ich zazdrośnie. Byli ubogimi absolwentami college'u — mąż miał na sobie wełnianą kamizelkę w afrykańskie wzory, żona sweter ze skurczonymi rękawami. Zachowali tę szczupłość i bladość charakterystyczną dla studentów, ich palce opadały pod ciężarem ślubnych obrączek, zupełnie jak palce bogatych matron uginają się pod ciężarem drogocennych pierścieni.

W te wieczory, kiedy nie szła do baru, mając na sobie krótką spódniczkę i pończochy, które potem płukała w umywalce w łazience, a one zabarwiały wodę na kolor zamszu, chodziła samotnie do kina na filmy o niewiernych mężach, niebanalnie „innych kobietach” i ascetycznych, cierpiących w milczeniu żonach.

Scenariusze były pełne stereotypów, obowiązkowych kombinacji miłości, seksu, przemocy i zdrady. Była to zawsze ta sama opowieść, która wydawała się jej własną historią, gdy siedziała tam wciśnięta w czerwony aksamitny fotel kinowy, wydzielający woń prażonej kukurydzy i lepkich cukierków. W niektórych scenach odnajdywała twarz Raymonda w twarzy niewiernego męża — w kształcie ust, którymi wodził po piersiach kochanki, sposobie, w jaki nabierał powietrza i uchylał się, gdy żona chciała wymierzyć mu policzek, w całym jego moralnym zakłopotaniu. Opuszczała kino, tonąc we łzach, wybiegała na śródmiejską zatłoczoną ulicę pełną nastolatków i autobusów.

Gdy nie wychodziła z domu, po raz kolejny uświadamiała sobie, że nic już nie pozostało z tego związku. Nie było niczego, co mogłaby traktować jak fetysz

— żadnych listów, urwanych guzików, do połowy wypalonych papierosów. Pewnego parnego wieczoru, ponad rok temu, nałożyła jasną lnianą sukienkę, która była przesycona kompozycją woni ich ciał. Następnego dnia zastanawiała się, czy powinna oddać ją do pralni, czy może raczej zatrzymać kompozycję ich połączonych zapachów w luźnym splocie tkaniny tak długo, jak tylko będzie to możliwe. Szybko jednak zorientowała się, że byłaby to pierwsza oznaka tkwiącej w niej choroby, pierwszy sygnał ciemności, której nie chciała odkryć. Sukienka, gdy otrzymała ją z powrotem w przezroczystym worku, lekko pachnąca kwaśnym płynem użytym do prania na sucho, idealnie wyprasowana, była płaska i pusta jak papier, na którym nic jeszcze nie zostało napisane.

Fiona postanowiła, że przestanie nadużywać alkoholu, weźmie urlop, przerwie ten utarty schemat, według którego biegło jej dotychczasowe życie, i wyjedzie na urlop w jakieś zupełnie nowe, nieznane miejsce. W pewien weekend, pół roku po tym, jak po raz ostatni widziała Raymonda, spakowała torbę, zarezerwowała bilet na autobus i wynajęła w hotelu pokój z pięknym widokiem. Była to miejscowość wypoczynkowa za granicą, oddalona o kilkaset mil od jej domu.

Nie tego jednak oczekiwała; miasteczko pełne było par małżeńskich ubranych w identyczne podkoszulki i buty do gry w tenisa. Szczyt sezonu jeszcze się nie rozpoczął i większość restauracji i sklepów z pamiątkami był zamknięta. W kawiarniach na stolikach stały sztuczne kwiaty, a w sklepach z upominkami sprzedawano nieporadnie wykonane ozdoby z nefrytami, które miały sprawiać wrażenie drogocennych kamieni, oraz drogie pudełka z czekoladkami.

Ale odkąd tu przyjechała, starała się za wszelką cenę wykorzystać te wakacje. Gromadziła miniaturowe buteleczki z alkoholem w barku, ograniczając się tylko do hamburgerów i *Banana Daquiris*, które zamawiała u obsługi hotelowej. Próbowwała czytać, ale jego twarz zjawiała się ponad zapisanymi drobnym drukiem stronami powieści i zbiorków opowiadań.

Spacerowała po zadbanych ulicach miasteczka, udając, że podziwia towary. W jednym ze sklepów z odzieżą obserwowała pięćdziesięcioletnią kobietę z



ostrym makijażem i nastroszoną fryzurą, która zdjęła z wieszaka biały kostium kąpielowy i przykładała do siebie.

— Masz już bardzo podobny kostium w domu — zauważył jej mąż, kierując się ku drzwiom.

— Ależ skąd — odpowiedziała kobieta — ten jest inny.

— A czym się różni?

— Po prostu jest inny — rzuciła ze złością — zupełnie inny.

— W porządku, przepraszam — powiedział, łagodniejąc. — Masz rację. Ten ma odcień kremowy, a nie czysto biały.

— Naprawdę? — zdumiała się ona.

— Tak — potwierdził, próbując okazać się pomocny — ta kremowa podszewka przebija przez materiał kostiumu, przez co wydaje się ciemniejszy.

— Nie zwróciłam na to uwagi — powiedziała kobieta, odwiesiła kostium i wyszli ze sklepu.

Czasem Fiona jadała w restauracjach, w których podłoga pokryta była puszystymi czerwonymi dywanami, ściany zdobiły aksamitne malowidła, a elektryczne płomienie doskonale imitujące żywy ogień podskakiwały na kominkowych paleniskach. Sączyła koktajle z kieliszków używanych już wcześniej, ich nóżki były jeszcze ciepłe po zmywaniu w zmywarkach. Pewnego razu siedziała przy stoliku tuż obok łysiejącego mężczyzny, ubranego w szorty i koszulkę do gry w golfa, oraz kobiety, której powieki pomalowane były niebieskim cieniem, a usta szminką w kolorze fuksji. „Ależ, kochanie”, powtarzała kobieta do znudzenia, usilnie próbując przekonać swego partnera, „ależ kochanie, posłuchaj mnie. Nie, nie, daj spokój, skarbie, to przecież nie jest prawda”. I jeszcze bardziej natarczywie: „Ależ, mój drogi, musisz zrozumieć, jak ja się czuję”; tymczasem mężczyzna chrząkał, potrząsał głową, przeklinając pod nosem.

Na każdym kroku Fiona była świadkiem podobnych dramatycznych scen. Były one jeszcze bardziej jaskrawe w spokojnych miejscowościach wypoczyn-

kowych; wszelkie kontakty międzyludzkie nabierały tu większego znaczenia niż w dużym mieście. Czasami wyobrażała sobie, że Raymond jest z nią, że razem spędzają wakacje — co było rzeczą zupełnie niemożliwą nawet podczas trwania ich związku. Rozmawiała z nim pod nosem, skulona na pustym brzegu jeziora, rzucając kamyki do wody; zmieniała wyraz twarzy i starała się zdobyć na uśmiech, gdy tylko ktoś próbował nawiązać z nią bliższy kontakt. Przybierała wtedy nic nie znaczącą minę, siedząc naprzeciwko przy dwuosobowym stoliku w kawiarni czy restauracji — mrugając porozumiewawczo. unosząc pogardliwie brwi, i jednocześnie przysłuchiwała się rozmowom toczącym się przy sąsiednich stolikach.

Wieczorami latarnie na zewnątrz hotelu były zapalone i odbijały się jak księżycy w pełni w tafli jeziora. Wiatr wzmagął się, a owady ponuro brzęczały w powietrzu. Zapach świeżo złowionych krewetek, silny jak wyziewy z restauracji, unosił się od strony jeziora i przesunął w stronę miasta. Owijała się w płaszcz kąpielowy i szła bosą, wzdłuż hotelowych korytarzy obok dźwięczących i bulgoczących automatów z lodami i innymi słodyczami, przez salę recepcyjną do basenu ze sztucznymi falami, który znajdował się w centralnej części hotelu. Tam siadała w kostiumie kąpielowym, obserwując wskazówki zegara. Wraz z nią z basenu korzystali inni goście w różnym wieku; wszyscy o zdeformowanych sylwetkach — starsi mężczyźni ostrożnie zanurzali pofałdowane torsy w wodzie, w pełni świadomi kruchości swoich ciał, otyłe kobiety w średnim wieku, którym kostiumy kąpielowe zwisały wokół piersi i ud. Wszyscy obdarzali się zdawkowymi, ugrzecznionymi uśmiechami, lekko skłaniając się przy tym, po czym wracali do poprzedniej pozycji z westchnieniem rozkoszy lub z zażenowaniem, które próbowali pokryć krótkim chichotem. Wpatrywała się w ich kończyny zanurzone w wirującej wodzie. Ich ciała przywodziły jej na myśl filmy, które kiedyś oglądała. Filmy o mężczyznach, opętanych przez kobiety, czy odwrotnie; ich bohaterowie, niepomni na nic, skradali się i siekali na kawałki swych kochanków, gdy nie mogli mieć ich wyłącznie dla siebie. Teraz widziała, że był w tym jakiś sens.

Po kąpieli w basenie Fiona wracała windą do swego pokoju. Przez drzwi balkonowe wpływał niczym nie zakłócony spokój falującej przy brzegu wody jeziora. W tej dusznej ciszy leżała na ogromnym łóżku, nie śpiąc, a myśli o Ray-

mondzie gromadziły się i narastały w fizyczny ból w jej piersiach, palący jak cios zadany pięścią, która trafiła tuż powyżej serca. Gdy w końcu niemal niezauważalnie zapadła w sen, śnili się jej rodzice. Zawsze było tak samo — dwoje ludzi, których udało się jej ignorować na jawie, panowali nad jej nocnym światem. Lecz teraz sny o rodzinie, pozostawionej gdzieś daleko, były wymieszane z tęsknotą za Raymondem, która zaszczepiała się na znanych scenach z dzieciństwa — płaczącej matce i odchodzącym od nich ojcu. Tylko że teraz twarz ojca zmieniała się w twarz Raymonda, a jej matka miała na sobie takie samo ubranie, jak Fiona w ten wieczór, kiedy poznała mężczyznę, którego kocha.

W drodze powrotnej do domu, gdy autobus dojechał do granicy, kierowca poprosił wszystkich, by wysiedli, zabierając ze sobą bagaże i paszporty. Podróżni, jeden za drugim, zirytowani i podenerwowani, wysiadali z autobusu mrugającego światłami w czyściutkim granacie nocy.

Wewnątrz budynku stały rzędy pomarańczowych krzeseł, sala była jaskrawo oświetlona; strażnik przy kontuarze ruchem ręki przywoływał każdą osobę pojedynczo, pstrykając przy tym palcami. Gdy nadeszła kolej Fiony, rzucił okiem na jej paszport i gestem wskazał, że może odejść na bok. Nie wyglądała na osobę, która ma coś do ukrycia.

Zatrzymał natomiast inną kobietę z autobusu.

— Czym się pani zajmuje?

— Jestem pisarką.

— Co pani pisze?

— Opowiadania, wiersze... Teraz akurat piszę powieść.

— Proszę pokazać mi swój bagaż.

Pisarka miała przesuszone, rzadkie włosy, wąskie biodra; ubrana była w stylu militarnym. Jej bagaż stanowiły trzy płócienne torby pełne rękopisów, których nikomu nie pozwalała dotknąć. Celnik, mimo jej protestów, zaczął układać je na

ruchowej taśmie, podczas gdy ona przestępowała z nogi na nogę, odgarniając włosy znad czoła i spoglądając gniewnie.

Każdą swoją odpowiedź na zadane pytanie kończyła głośnym, przeciągłym, sarkastycznym westchnieniem.

— Co, u diabła, się z panią dzieje? — zapytał celnik.

Przywołał kolegę i obaj zaczęli wyjmować kartkę po kartce z plastikowych koszulek i każdą z osobna oglądać. Były tam pewnie tysiące stron. Pisarka skrzyżowała ręce na piersiach i stała, wpatrując się w swój porzucany rękopis.

Pozostali podróżni wrócili do autobusu i z zainteresowaniem obserwowali całą tę scenę, która rozgrywała się wewnątrz oświetlonego budynku.

— Może sądzą, że to, co ona pisze, to pornografia — domyślał się ktoś.

— Czy ostatnio nie zostały zmienione przepisy o cenzurze? — dopytywał się inny podróżny.

— Trzeba uważać na to, co się pisze — przestrzegał ktoś, nie mając na myśli żadnego konkretnego adresata.

— Nie powinna być taka obcesowa. Znacznie łatwiej by przez to przeszła, gdyby była bardziej sympatyczna — zawyrokował jakiś mężczyzna.

— Jasne, może wtedy ten autobus wreszcie by ruszył — rzucił nastolatek.

Godzinę później z budynku wyłonił się kierowca, bez słowa wyjaśnienia wsiadł do autobusu i uruchomił silnik. Pisarkę zatrzymano na granicy. Wszyscy byli ciekawi jej losu, ale okazywanie zainteresowania czymś niepowodzeniem wydawało się w złym tonie, nikt więc nie powiedział ani słowa.

Fiona była zaskoczona, ale szczęśliwa, że bez żadnych problemów udało się jej przekroczyć granicę. Zaraz też przypomniała sobie, że przecież wracała do swego rodzinnego kraju i że nie miała nic do zadeklarowania.

Miesiąc po wakacjach Fiona z okazji wystawy swoich prac wyjechała do miasta, w którym mieszkał Raymond. Podczas swego czterodniowego pobytu

większość czasu przeznaczala na udzielanie wywiadów i wygłaszanie referatów na temat swojej pracy. Jednak ciągle jeszcze znajdowała wolne chwile na to, by spotkać się z osobami, które znała z poprzednich wyjazdów, a które zapraszały ją do restauracji i nocnych lokali. Zawsze wybierała te miejsca, gdzie mogła spotkać Raymonda. Wiedziała, że lubił modne, drogie restauracje, w których porcje są niezbyt obfite, lecz efektownie podane na dużych, ośmiokątnych talerzach; nieszczęśliwa, starała się przetrwać wiele takich posiłków; sięgając po potrawy, które wydawały się jej gumowate i tłuste, szukała go wzrokiem — może siedzącego przy barze lub w boksie w towarzystwie mężczyzn i kobiet, jeszcze w strojach służbowych, czy też na tarasie z żoną lub inną kobietą.

Pewnego wieczoru została zaproszona na kolację przez grupę osób, na których miała nadzieję zrobić dobre wrażenie — kuratorzy, kupcy, dyrektorzy instytucji inwestujących w młode, wschodzące talenty. Miejscem spotkania była restauracja otwarta dopiero od tygodnia; jej ściany pomalowano na kolor melona, pośrodku sali umieszczono filary, a lustra jak sztuczne ognie lśniły ponad głowami gości. *Maitre d'hotel* był ujmująco podekscytowany, w drzwiach stała kolejka oczekujących, a wejście zdobiły pierwsze opinie o restauracji. Przy innych stolikach siedzieli mężczyźni ubrani w białe koszule i oliwkowe eleganckie spodnie; kobiety miały na sobie skąpe bluzeczki, które odsłaniały ich szczupłe, ładnie zarysowane ramiona.

Fiona przyszła już na lekkim rauszu. Nie chciała ściągać na siebie uwagi podczas kolacji, zamawiając zbyt dużo drinków, wypila więc w hotelowym barze dwie whisky, zanim przywołała taksówkę. Gdy jeden z mężczyzn siedzących przy jej stoliku jeszcze przed kolacją zamówił szkocką, ona zrobiła to samo. Nagle poczuła chęć znalezienia się na tym etapie upojenia, kiedy czuła się tak ożywiona, jak w obecności Raymonda; sądziła, że gdyby tylko mogła przenieść się w tamtą przestrzeń, odnalazłaby go czekającego, gotowego, by dać jej jeszcze jedną szansę.

Zanim podano przystawki, była już zupełnie pijana i wcale nie odczuwała głodu. Z trudem nadażala za toczącą się przy stole rozmową, a poza tym zupełnie nie pamiętała imion mężczyzn i kobiet, z którymi siedziała przy stoliku. Mężczy-

zna obok miał miłą twarz, okulary w srebrnej oprawie, ciemny garnitur. W pewnej chwili zorientowała się, że znacząco dotyka to jego dłoni, to rękawa, szepcząc mu coś przy tym do ucha. Z nagle wzbierającym zażenowaniem zdała sobie sprawę, że ostentacyjnie z nim flirtuje, gdy tymczasem on patrzył na nią z mieszaniną zainteresowania i podejrzliwości w oczach, jak ktoś, kto spogląda przez drzwi zabezpieczone łańcuchem na nieznanego przybysza.

— Tak, jestem żonaty — usłyszała odpowiedź na pytanie, choć nie mogła sobie przypomnieć, czy je zadała. — Mamy czworo dzieci.

Talerze były już puste, zamówiono kawę i desery. Poprosiła o brandy, chociaż czuła, jakby jej głowa unosiła się na wodzie, a jaskrawe barwy restauracji raziły w oczy. Próbowiła przekonać swego sąsiada, by napił się z nią, ale on odmawiał, potrząsając głową.

— Naprawdę, nie mogę — mówił. — Prowadzę samochód, poza tym jutro idę do pracy.

Czuła, że w pewien sposób została odtrącona, i wypiła brandy z kieliszka, jak gdyby to było wino, po czym zamówiła następną.

Na dworze zaczęło padać i niebo nagle popękało pod białymi włókienkami błyskawicy. Wylała trochę brandy na bluzkę i wydawało się jej, że wszyscy wokół niej odwracali oczy, gdy niezdarnie wycierała plamę nasiąkniętą serwetką.

Po uregulowaniu rachunku wszyscy wstali, szykując się do wyjścia — mężczyźni podawali sobie ręce, kobiety całowały się w policzki. Fiona zwróciła się do swego sąsiada.

— Przez cały wieczór chciałam to zrobić — powiedziała i nachyliła się, by musnąć lekko ustami jego twarz. Zamiast dotknąć jej pleców, uśmiechnąć się zachęcająco do niej z odcieniem pożądania, patrzył na nią ze smutkiem, powagą i politowaniem. Spojrzenie, które dostrzegła w jego oczach, sprawiło, że chciała umrzeć.

Rano, ostatniego dnia jej pobytu w mieście, w którym mieszkał Raymond, niebo ponad wzbijającymi się wysoko śródmiejskimi biurowcami było zupełnie



białe. Zbliżało się lato. Biznesmeni stali na skrzyżowaniach ulic i w oczekiwaniu na zmianę świateł rozmawiali przez telefony komórkowe; kobiety, w eleganckich kostiumach i delikatnych bucikach, zdecydowanym krokiem wychodziły z kawiarni, niosąc kubeczki z kawą ze śmietanką. Posłaniec, o silnie uwypuklonych mięśniach nóg, jechał na rowerze wzdłuż chodnika; nastolatka, której spod króciutkiego podkoszulka przeświecała zgrabna talia, przemknęła na łyżworolkach po chodniku. Fiona siedziała w taksówce wiozącej ją na lotnisko; zawirowało jej w głowie, gdy taksówkarz skręcił nagle na skrzyżowaniu, ponieważ po raz pierwszy zobaczyła budynek, w którym pracował Raymond.

Był to zwyczajny, wysoki biurowiec, o ostrych krawędziach, wyłożony płytami ze szkła, jak każdy inny budynek w centrum miasta. Myślała, że tylko zerknie na niego, gdy będą przejeżdżali obok, ale nagle usłyszała dźwięk trąbki; samochody zaczęły zwalniać. Taksówkarz zjechał do krawężnika i zatrzymał się dokładnie przed biurowcem Raymonda.

— Cholera. Czy pani uwierzy? To parada. Pieprzona parada. Mam nadzieję, że pani samolot odlatuje dopiero po południu.

— Niestety, nie — odpowiedziała.

Odgłosy trąbek przybliżyły się i falanga maszerujących, zarówno dzieci, jak i dorosłych, wychodziła na środek ulicy zza budynku, przed którym stali. Wszyscy uczestnicy parady mieli na sobie trykoty i wstążki; grali na cymbałkach i trąbkach; za nimi sunęły w dół ulicy, jak ogromne torty, platformy ustrojone błyskotkami i światełkami, na nich jechały kobiety w fartuchach; poruszały biodrami, wykrzykując słowa, których nie mogła zrozumieć w tej mieszaninie dźwięków wydawanych przez rozmaite instrumenty dęte, a przede wszystkim przez rogi, w które dęli giermkowie idący po obu stronach głównej kolumny.

— Co się dzieje? — spytała.

— Och, nie wiem, ciągle organizują takie idiotyczne imprezy. Zwariowane miasto. Potrzebne są nowe władze, jeśli chce pani znać moje zdanie. Kto wie, może to jakaś rocznica albo żydowskie święto czy coś w tym rodzaju... Nie,

chwilczkę, jest transparent — „Obchodzimy Rok Rodziny”. Proszę spojrzeć. Wiedziałem, że to jakieś rządowe bzdury.

Fiona oparła się o siedzenie, opuszczając nisko okno, chłonąc hałas i światło dnia. Kilka kroków dalej, po drugiej stronie chodnika, było wejście do budynku, w którym pracował Raymond. Wypolerowane metalowe filary na froncie musiały być zimne w dotyku. Zamknęła oczy i poddała się nie skoordynowanym dźwiękom poruszającym jej zmysły. Po raz pierwszy coś odczuwała — światłość sącząca się w jej wnętrzu — może nadzieję, może tylko znak, że coś w przyszłości się zmieni. Gdy spojrzała na biurowiec Raymonda, wydawało się jej, że widzi go stojącego w jednym z okien, zwabionego odgłosami dochodzącymi z ulicy. Nie miała pewności, to mógł być każdy; i wtedy samochody znów ruszyły.



---

Dwa tygodnie przed naszym rozstaniem pojechałam do Kalifornii, by stanąć na słynnym skrzyżowaniu i pomyśleć o tobie. Bulwar tonął w deszczu, którego krople były ciepłe jak łzy dziecka, wywołane napadem złości, a światła nocnych sklepów z alkoholem stanowiły mój jedyny drogowskaz w drodze do hotelu. Zaczęłam iść przed siebie, dopasowując swoje stopy do odcisków stóp nieżyjących już gwiazd, które dziesiątki lat temu, z obawą i znudzeniem, kryły się w prezydenckich apartamentach hotelowych. Szłam wyludnionym bulwarem, szeptem wypowiadając twoje imię; ty jednak się nie zjawiałeś. Dokonałeś już wyboru, ofiarowałeś miłość, twój bezpieczny port, swojej żonie.

Teraz, kilka miesięcy po tym, jak odszedłeś ode mnie, samolot znowu zaczyna podchodzić do lądowania w Los Angeles, zapadając w coś, co początkowo wydaje mi się ciemnością. Ale po chwili, gdy spoglądam przez okno po przeciwnej stronie kabiny samolotu, widzę z jednej strony, wzdłuż obrzeży miasta, zachód słońca, który krwawi barwami swego makijażu — kolorami karmazynowej czerwieni i mandarynki, tak chętnie powielanymi w celach komercyjnych. W miarę jak samolot obniża lot, barwy te stają się coraz jaśniejsze.

Jest zima, ale na zewnątrz dzień jest mglistą, błękitną kompozycją ciepłą; powietrze wydaje się ciężkie, tropikalne, o leczniczej woni eukaliptusa. Leżę w łóżku, wsłuchując się w odgłosy policyjnych helikopterów, które zataczają na niebie szerokie kręgi, lecąc nisko w poszukiwaniu przestępców. Krążą koncentrycznie jak sny. tory ich lotu zachodzą jeden na drugi, dopóki nie rozbudzę się całkowicie. Mieszkam w pokoju za zasłoniętymi żaluzjami, na biurku obok łóżka stoi wazon z bukietem polnych kwiatów. Na piętrze moja przyjaciółka Jessica śpi w swoim czarnym łóżku, a jej łazienka to morze luster i kosmetyków w słoiczkach, które wyglądają jak wygładzone falami kamienie, krzemień i różowy kwarc znalezione na plaży. Kyle, jej współlokator, aktor, siedzi właśnie przy śniadaniu, popija sok pomarańczowy i czyta opasłą gazetę. Na głowie ma już zimową ciepłą

czapkę z opuszczonymi nausznikami, jest gotowy do wyjścia na poranne zdjęcia próbne do cotygodniowego serialu telewizyjnego. Kilka minut później słychać strzały w sąsiedztwie, Jessica i Kyle spoglądają z niepokojem w stronę okien. Nic nie widzą, ale wiedzą doskonale, że na zewnątrz coś się wydarzyło.

Rano Jessica i ja jedziemy bulwarami, mijamy wzgórza pachnące korzennymi przyprawami i dalej autostradami, które nie mają końca. Gdy wychylam się przez okno samochodu, moją twarz pokrywa cienka warstwa kurzu. Po lunchu wchodzimy do sex shopu. Pod przeszklonym kontuarem leży naturalnej wielkości kopia kobiecej pochwy, wzburzone jak morska piana czarne owłosienie przyczepione jest do lejka, przez który sperma może wypływać na zewnątrz. Jestem ciekawa, czy kiedykolwiek przyszedłbyś tu ze swoją żoną, do tego sklepu, tak wspaniałego i zarazem bezwstydnego, jak zmysłowa kobieta, która założyła na siebie źle dobrany strój. Króluje tu Eros, schwytyany i uwięziony w pudełkach z prezerwatywami, lizakami w kształcie genitaliów, w opakowaniach filmów wideo, zdobionych jak okładki starych powieści, ustawionych rzędami na półkach. Pamiętam, jak w moim mieście nad morzem, w hotelowym pokoju, którego okna wychodziły na parking i ogród pełen róż, raz tylko, jeden jedyny raz, trzymałeś mnie za rękę i oglądaliśmy razem nocny program w telewizji. Oboje stwierdziliśmy wtedy, że nie lubimy pornografii. Zgodziliśmy się, że w tym oglądanym przez nas filmie najlepsze były zdjęcia wewnątrz. Wzdychaliśmy w tych samych momentach, oboje byliśmy ubrani na biało. Chciałam końcem języka dotknąć blizny na zgięciu twego palca tak mocno, by nie móc nic powiedzieć przez kilka najbliższych dni.

„Czy lubisz przemoc w filmach?” — zapytałeś.

„Tak, lubię”.

„O, tutaj, w »LA Times« z tego tygodnia widziałem reklamę takiego filmu”. Mówiąc to, rzuciłeś mi na kolana gazetę, jak ogromnego niezdarnego ptaka o rozłożonych do lotu skrzydłach.

„Zobacz, jak znajdziesz, to może pojedziemy do miasta i obejrzymy go razem...”

Oczywiście tego ostatniego zdania nie wypowiedziałeś, ale sens tego, co mówiłeś wcześniej, był dla mnie oczywisty, nie wypowiedziana obietnica, jak wiele podobnych, których staraliśmy się wzajemnie dotrzymywać. Długo patrzyłam na repertuary wszystkich kin, zapewniam cię, że tak było; teraz siedzę samotnie w kawiarni, której okna wychodzą na parking w bocznej ulicy, wśród kobiet przymarzniętych do swojej młodości — ich największego atutu; na rękach mają bransolety, wokół szyi naszyjniki i kolczyki w uszach, nie ma w nich jednak niczego, co mogłoby być symbolem ich seksualnej wierności. Obserwuję kobiety, które idą do swoich samochodów, niosą błyszczące torby, prostują sprężyste nogi, jak młode żrebaki; twarze mają zamknięte jak kielichy nocnych kwiatów. Myślę o twojej żonie. Myślę o twoich palcach, które trzymasz w miejscu, gdzie pulsuje jej tętno, oceniając jej reakcję, mierząc tempo, w jakim ona żyje. W tym mieście myślę o was obojgu spacerujących razem, wasze ramiona dotykają się od czasu do czasu jak bliźnięta. Ona jest tą kobietą, którą wybrałeś; ostatecznie ona jest wszystkim, co dla ciebie istnieje.

Gdy wstaję, by wyjść z kawiarni, jestem całkowicie pochłonięta myślami o tobie. Przechodzę obok znanej aktorki, która wpatruje się w ten sam parking oczyma przypominającymi kawałki kryształu.

— To weź tabletkę. — Kobieta w czarnym, przyciągającym wzrok kostiumie mówi do mężczyzny, który jej towarzyszy, gdy wychodzą z baru na taras z widokiem na parking, trzymając w dłoniach szklanki ze świeżo wyciśniętym sokiem owocowym.

— Nie ma tu zbyt wielu kobiet. — Umundurowany mężczyzna z ochrony mówi do jednej z pań siedzących przy stoliku obok. Jej stopy ukryte są pod stosem czerwonych paczek. Znana aktorka nie wypowiada ani słowa; ma włosy jasne jak Finka, sylwetkę idealną do ubrań ze skóry i spandeksu. Ciekawe, jak wielu ludzi minęłam ostatniego roku, myśląc wyłącznie o tobie.

W dzisiejszych czasach panuje moda na kluby odnowy biologicznej i rzędy fantastycznych sklepików wzdłuż ulic, na parkingi ozdobione proporczykami o narodowych barwach, które przypominają szarfy uczestniczek konkursów piękności i są równie fałszywie radosne jak place dealerów samochodowych. Gdy Kyle i ja

wysiadamy z samochodu i idziemy w kierunku sali gimnastycznej, po drodze widzimy całe armie sprężystych ciał, z wyraźnymi zarysami mięśni na brzuchach; przesuwiają się do przodu, dźwigając torby sportowe i pasy do ćwiczeń, obciążone ciężarkami. Parking drży w gorącym powietrzu, ale przy tej bezwietrznej pogodzie porożczyki wiszą w całkowitym bezruchu. Kiedyś, jakby w poczuciu skruchy za chwilę niewierności, spędziłeś kilka godzin w tym klubie sportowym, rozchorowałeś się, byłeś kompletnie wyczerpany, niemal jak po bolesnym zabiegu u dentysty. „Nic ze mnie nie pozostało”, powiedziałeś potem. „Jestem bez życia”. W dyskretnie zaciemnionym pokoju hotelowym widziałam twoje mięśnie rozpalone do białości.

Klub gimnastyczny jest wielopoziomowym piekłem, gdzie tysiące ludzi wykonuje pompki i przysiady w obawie, by ciała, których są właścicielami, nie zmieniły się w inne. W moim przypadku potwierdza się to w dwójnasób; grymas na twarzy, świadczący o bliskości osiągnięcia celu, nakolanniki do jazdy na rowerze, zginające się mięśnie. Kobiety, łapiąc oddech, wynurzają się z falującej wody basenu; ich twarze, w chwili gdy ukazują się nad powierzchnią wody, wydają się zupełnie bez wyrazu, do złudzenia przypominają ameby; biodra, opięte czarną lycrą, z łatwością przesuwiają się w wodzie. Te kobiety leżą potem zwinięte na ręcznikach, z twarzami odwróconymi w kierunku ściany, jakby poniosły klęskę lub okryły się hańbą. Dwóch mężczyzn, uwięzionych na boisku do squasha, toczy zażarty bój, a nadąsane młode dziewczyny przy barze, gdzie serwuje się soki, czekają na swoich kochanków, których rozpalone ciała ociężale poruszają się pomiędzy sztangami w kolorach żelaza i kamienia w sali do podnoszenia ciężarów do złudzenia przypominającej prehistoryczną jaskinię.

Klub gimnastyczny jest państwem w państwie, krainą luster i różowych fluorescencyjnych rurek, telewizorów przymocowanych do ścian, w które, ćwicząc, wlepiamy nasze błagalne spojrzenia, niby w odchodzących kochanków. „Nad południowe stany nadciąga burza”, oznajmia z ekranu godna zaufania kobieta w jasnym sweterku. Tam, gdzieś bardzo daleko, kłębią się czarne chmury. Więcej gwałtów, więcej ofiar śmiertelnych, zdjęcia mężczyzn na ekranie, podobne do

tych, które można nalepić na kubek, podobne do twarzy mężczyzn w samochodach przesuwających się sąsiednim pasem autostrady, wpatrujących się we mnie wzrokiem, który nie wyraża niczego.

Ścigamy się na naszych wymyślnych, skomputeryzowanych rowerach, a w rzeczywistości nic się nie porusza. Wszystko jest statyczne; biegniemy i wspinaemy się zawsze w tym samym miejscu, w którym bylibyśmy poprzednio. Schodzę w dół po schodach do innej części klubu, tylko po to, by przywitało mnie moje własne odbicie w lustrze, które tam czeka. Wchodzę do jednej z sal, mijając kolejne zwodnicze zwierciadło; równie dobrze może to być to samo pomieszczenie; istnieję wszędzie, a jednocześnie jestem zagubiona, nie znajduję żadnych śladów mojej przeszłości w twarzy ani w ciele, które pięści błyszczące ciężarki, wykonuje powtarzalne czynności zupełnie jak zaprogramowana maszyna; ciało, nieobecne w realnym wymiarze inteligencji, widoczne jest tylko w tych lustrach, w których odbija się wyłącznie moja fizycznie ukształtowana osoba, nie widać natomiast niczego, co żyje w jej wnętrzu. Czy jest coś dziwnego w tym, że przybywamy tu jak do Mekki, że parking nie może pomieścić tych tysięcy błyszczących samochodów, które przyjeżdżają codziennie do klubu odnowy biologicznej? W sobie tylko znany sposób szukam tutaj ciebie, czekającego u podnóża schodów na kobietę, która schodzi w białej, spływającej na podłogę sukni; ciebie, w którego skórze można przejrzeć się jak w zwierciadle. Tutaj straciłam siebie na tyle, na ile w ogóle jest to możliwe, topiąc się w elektryzujących pokrzykiwaniach instruktora aerobiku, tańczącego na scenie w rytm muzyki pulsującej jak serce podczas gwałtownego wysiłku. Lustro podpowiada mi, że jestem dość atrakcyjna, chociaż nie ma we mnie niczego nadzwyczajnego, a ja z zadowoleniem przyjmuję ten unicestwiający werdykt — moje bezpieczne wtopienie się w gromadę ludzi, która się w nim odbija. Kyle i ja spędzamy całe godziny w tej fabryce ciała, obserwując, jak pot spływa po obojczykach i łopatkach. Czy można znaleźć ucieczkę w tej pulsującej fali narastającego ciśnienia, w wyświetlanych na monitorze gratulacjach po wykonaniu całego zestawu ćwiczeń? Robiąc pompki, gorączkowo unoszę się w sen o białych sukniach, połyskujących nocą autostradach i wizji twojej żony, która pospiesznie dotyka wargami twojej twarzy.



W sklepach z odzieżą przymierzam sukienki, oglądam się w lustrach, ale oczy mam zamglone jak niewidomy. Widzę siebie w sukni ślubnej, wygniecionej i zaplamionej; czarne guziki zdobią ją na piersi. W dłoni trzymam bukiet zwiędłych czerwonych róż, kruchych jak zaschnięte plamy krwi, idę w oparach kadzidła tak gęstych, że na sukni pozostaje smuga popiołu. Na zewnątrz, na ekskluzywnej ulicy, przystojni młodzi mężczyźni, uczesani jak gwiazdy ekranu, przypierają dorastające dziewczyny, ubrane jak prostytutki, do ścian modnych butików lub tanich barów z hamburgerami, na których leniwie mrugają neony. Azjatyckie dziewczęta z zażenowaniem palą papierosy przed sex shopem; ich twarze są jeszcze zupełnie niewinne. Płynie rzeka młodości, a moda, którą z sobą niesie, zmienia się z sezonu na sezon. Czarne opaski na włosach, jak żałobne szarfy na łodygach magnolii, ciemne szminki niby teatralna charakteryzacja. Te dziewczyny są świadome swojej atrakcyjności, zupełnie jak idąca ulicą parada, która nieodparcie przyciąga wzrok przechodniów; ponętne ciała tych młodych kobiet nie zdradzają jednak żadnej wiedzy na temat seksu, żadnego z jego instynktownych, zniewalających rytmów. Mimo wszystko są nędznymi aktorkami; ucharakteryzowane do swojej roli, ale do niej nie przygotowane, stoją krzykliwie na ulicznej scenie, rzucając się w oczy jak gargulce.

Poranne gazety, w części poświęconej drobnym ogłoszeniom, wypełnione są pięknymi twarzami mężczyzn i kobiet szukających się nawzajem, ale jakoś dzień po dniu gubią się tak, jak ja gubię ciebie wśród twarzy mijających mnie na parnej ulicy; puste twarze jeszcze nie naznaczone cierpieniem, które nie doświadczyły dotąd odosobnienia i nie zdradzają śladów konfliktów ani braku lojalności. Siedzę pod lampą wysoką jak palma, przed budynkiem restauracji o chromowanych ścianach, bogato oświetlonej neonami, z dala od dziewcząt i chłopców przy kontuarze, podziwiających swoje fryzury w każdej wypolerowanej powierzchni, w której zobaczą swoje odbicie. Kobiety przesuwają się ulicą, kołysząc niewielkimi szydełkowymi torebkami. Osiągnęły to, co jest niemożliwe do osiągnięcia — nigdy się nie zestarzeją. Za sto lat nadal będą w tym samym miejscu, w ciałach innych kobiet, w których kombinacja nudy, próżności i braku bezpieczeństwa będzie identyczna, jak gdyby została odwzorowana na podstawie skomplikowanego wzoru chemicznego; za nimi zawsze będą mężczyźni w swo-

ich drogich samochodach, z jedną ręką niedbale ułożoną na kierownicy, z przelotnym, typowym dla klienta, pożądanym spojrzeniem.

Twoja żona nie wygląda jak kobieta z ulicy. Delikatnie zarysowany kształt ust, linie wokół oczu nadające im wyrazistość, ukształtowanie zagnieceń na spódnicy, gdy wstaje. Jej także szukam. Obserwuję, czy nie idzie ulicą, czy nie wychodzi z któregoś z butików o chciwie przyciągających wystawach, pralni czy sklepu sieci 7-Eleven, z któregoś z sex shopów, z ich dziecinnie dumnymi ekspozycjami kart, podkoszulków i zapachowych żeli. „Był jak cukierek w moich ustach”, widnieje napis na jednej z kart... Tak, to jej mąż, który był jak cukierek w moich ustach, to jego odbicia szukałam w miejskim klubie gimnastycznym wśród wielotysięcznej rzeszy jego członków.

Nazajutrz Jessica i ja chodzimy od sklepu do sklepu. Unosi się w nich słodki zapach drogich środków chemicznych w szklanych fiolkach, róże pływają w butelkach wypełnionych gładkim płynem jak bursztyn czy kapryfolium; róże jak płody zawieszane w słonej wodzie, zakonserwowane i spoglądające z półek sklepowych. Przesuwamy palce wzdłuż wieszaków z ubraniami jak po stronach książek, wybierając obrazki, które chcemy zatrzymać w pamięci przynajmniej na chwilę. Budzę się z zadumy, czując smak twojej skóry, białej i chłodnej jak śnieg pokrywający górę lodową. Żadna ulica wysadzana palmami, żaden sklep z przeszklonymi witrynami czy zakupy zrobione pod wpływem impulsu nie zdołają tego zastąpić. Gdy w sklepie przymierzam nową spódnicę i przeglądam się w lustrze, właśnie od ciebie oczekuję rady. Zamiast tego, Jessica prosi mnie o zapięcie suwaka w sukience, którą akurat włożyła na siebie; a w tej samej chwili, gdzieś w innym miejscu, twoja ręka spoczywa na aksamitnych plecach twojej żony. Kończę zapinać suwak przy sukience mojej przyjaciółki, a ona opuszcza włosy, by podziwiać lub skrytykować swój wygląd w milczącym lustrze.

W sobotnie wieczory ulice zalane są światłami neonów, a rzędy samochodów przesuwają się w różnych kierunkach, połyskując jak srebrna rybka w czarnej głębinie. Przejeżdżałyśmy obok parków, w których ciała młodych prostytutek były już raz odtrącone, a ostatnio znowu okazały się niepotrzebne. Na tylnym

siedzeniu jedna ze znajomych Jessiki, matrona z Beverly Hills, w wieku naszych matek, opowiada o swoim niewiernym mężu.

— Wychodziłam za niego dwa razy — mówi — pierwszy raz odeszłam, ponieważ oszukiwał mnie i nie mogłam tego znieść.

We wstecznym lusterku jej wymalowane oczy wydają się szerokie, cera ze śladami po przebytej różyczce nabrała kamiennej gładkości dzięki grubej warstwie nałożonego na wieczór podkładu. Jej głos staje się niewyraźny, gdy po zjechaniu na inną nitkę autostrady samochód przyspiesza; ruch powietrza zwiewa jej grzywkę znad czoła, układając ją w staranny okrągły lok.

— Czy odchodząc od niego, ciągle go pani kochała? — pytam.

— No cóż, wróciłam — odpowiada. — Wyszłam za niego ponownie. Teraz domagam się prezentów z okazji rocznic obu ślubów.

— Czy znowu będzie oszukiwał?

— Nie sadzę. Połowa domu należy do mnie, a on za bardzo go kocha, by ryzykować taką stratę.

— To wszystko? Tylko to powstrzymuje go przed niewiernością?

— On kocha swój dom — powtarza. — Teraz ja częściej go oszukuję.

Gdy jemy kolację w restauracji, dostrzegam linie, które tworzą się pod jej oczami, kiedy się uśmiecha; widzę drobne, delikatne pęknięcia makijażu, starcze plamki na jej skórze, która jest tak cienka, że ledwie utrzymuje w sobie tę kobietę. Żonę. Inni goście zachowują się głośno; ponad głowami mamy wysoko zawieszony sufit, ściany zdobią rysunki świnek i aniołków. Przy stolikach mężczyźni co chwila spoglądają w naszą stronę — w kierunku stolika, przy którym siedzą same kobiety — między jednym kęsem a drugim, jak gdyby zerkali w ekran telewizora. W pewnej chwili, gdy podnoszę wzrok znad swojego talerza, wydaje mi się, że widzę ciebie wchodzącego do środka, chwilę po tym, jak portier odprowadził twój samochód; idziesz za dziewczyną o prostych blond włosach i ustach pomalowanych na czerwono, nerwowo rozglądającej się na wszyst-



kie strony. Moje serce ogarnia panika. Te włosy, te usta, które przywierały do moich. Jednak ten mężczyzna okazuje się nieznajomym i nasze oczy się nie spotykają. Śmiech i rozmowy stają się w jednej chwili jeszcze donośniejsze i wizja znika. Kelnerka, śpiewając *Happy birthday to you*, zapala świeczkę i umieszczają w specjalnej podstawce, by postawić ją na torcie, który niesie do stolika przy oknie; oświetlenie restauracji zapala się i przygasa, a inny kelner zapala sztuczny ogień i kręci nim wkoło, podczas gdy wszyscy obecni ochoczo wtórują śpiewającym, klaszcząc jubilatowi, którego nawet nie mogą dostrzec wśród zatłoczonych stolików.

Późno w nocy trafiamy do klubu z pomalowanymi na czarno ścianami, szczerzący zęby szkielec ludzki podskakuje nad barem; mężczyźni i kobiety, ramię przy ramieniu, stoją obok siebie, niby na udanym przyjęciu, i raz po raz rzucają nazwy egzotycznych trunków w kierunku obsługi baru — Biały Goździk, Zardzewiały Gwóźdź, Truskawkowa Margarita. Siedzimy tu do drugiej w nocy, aż kieliszki zostały sprzątnięte i nikomu na nic nie przyda się już nasza obecność; wytaczamy się na mroźne powietrze, wprawiając się nawzajem w zakłopotanie, potem krążymy i krążymy naszym samochodem po drogach kanionu, otrzeźwione chłodem, w stronę Valley i snu.

W ostatnim dniu mego pobytu tutaj na promenadzie nie ma śladu po ubiegłej nocy. Tłum jest barwny jak karnawał, a Jessica i ja wędrujemy od sklepiku do sklepiku, kupując tanie obcisłe bluzki i wiszące kolczyki; jesteśmy częścią tej parady. Ze sklepów dochodzi gęsty zapach kadzidła, od strony ławek, zewnętrznych kawiarenek i z palmowego cienia dobiegają melodie zakłócające się nawzajem — arie operowe, przeboje czterdziestolatków i Złote Przeboje z dawnych lat. Młoda bezdomna kobieta w poplamionych spodniach błąka się pośród par trzymających się za ręce, raz po raz pociągając się za pasek, który na swój sposób został zdradzony przez jej szczupłe ciało o ciepłym kolorycie zimowej opaleniźny, świadczącej o dostatnio spędzonych wakacjach. Morze oddzielone jest od promenady szeroką granicą piasku, który miejscami przybiera kształt skalistych grzbietów, naniesionych przez kolejne przyływy i odpływy, ale konstrukcje te załamują się pod moim ciężarem. Piasek najbliżej wody wymyty jest niby lateksowa warstwa błękitu, woda rozlewa się na niej jak marszczona spódnica, a przy-

brzeżne fale rozbijają się o nią w blasku słońca. Siedzę na falochronie obok mężczyzny, który słucha relacji radiowej z meczu baseballowego, i przyglądam się innemu mężczyźnie, spacerującemu poniżej wzdłuż linii wody ze swoją dziewczyną; teraz puszcza jej dłoń, by przyjąć pozycję kulturysty, ręce i nogi charakterystycznie wzniesione, twarz przechylona, jak gdyby chciał pokazać profil wyrzeźbiony ze skały. Po chwili bierze znowu dziewczynę za rękę. Ona śmieje się; są całkiem zwyczajni.

Tymczasem na promenadzie czarnoskóry beznogi mężczyzna siedzi na de-skorolce; ma przed sobą radio stereo, porusza się w rytm muzyki, wymachuje rękami, jego twarz wyraża groteskową parodię radości. *Czy mnie kochasz...* Nieco dalej kobieta z ogromnym brzuchem, ubrana w źle dopasowany kostium bikini, potrząsa grzechotką i gestykułuje do kogoś za sobą, kto ubrany jest w fioletowy kostium dinozaura, którego zakończenie stanowi ogon z ostrymi wyrostkami, niezgrabne łapy i pysk, czarny i szeroki jak smutek.

— No chodźcie, nie wstydźcie się. Zróbcie sobie zdjęcie z Barneyem — woła i woła, potrząsając starą grzechotką, gdy świat przechodzi obok, a jedynym klientem, który okazuje zainteresowanie, jest chłopiec mieszanej rasy, ściskający dinozaura za nogi w dowód podziwu i sympatii. Młode kobiety przechodzą obok, wioząc w wózkach swoje dzieci, obojętne na krzyk tamtej kobiety, której włosy, jakby przykurzone pustynnym brązem, spadają coraz bardziej na twarz — niby policzek wymierzony przez kochanka.

Ocean połyskuje swoją zdobywającą nagrody szarfą, która ma długość plaży, przez chwilę zawisa nad nią latawiec, ostry jak skrzydło nietoperza, trwa tak przez chwilę, zanim nie zniknie z pola widzenia. Dzieci w kombinezonach lub szortach i podkoszulkach stawiają niepewne kroki, jedząc *churros*, meksykańskie ciasteczka grubo posypane cukrem, który przyczepia im się do warg i osypuje na ubranka, skrząc się jak anielski pył. Młodzi mężczyźni zatrzymują grupki dziewcząt ubranych w dżinsy i obszerne bluzy.

— No i co tam dziś robicie, panienki? — pytają słodkimi, choć nie budzącymi zaufania głosami.

— Och, tak po prostu spacerujemy — dziewczyny odpowiadają wysokim tonem, chichocząc, przekomarzając się, a jednocześnie powoli się wycofując.

„Twoja skóra jest taka zimna”, powiedziałam kiedyś ze zdumieniem w pewnym pokoju hotelowym, w którym siedzieliśmy naprzeciw siebie, całując się i odsuwając od siebie, gdy strach lub napiętność wdzierały się pomiędzy nas jak ściana ognia. „Jestem zimny”, powiedziałeś. „W końcu dowiesz się tego o mnie. Nie, nie”, dodałeś ze śmiechem. Z uporem szukałam twego ciepła palcami, językiem, choćby śladów jego istnienia pod twoją śnieżną skórą, lodowatą jak u zahibernowanego zwierzęcia; nigdy nie zadawałam żadnych pytań, nawet gdy nie mogłam znaleźć takiego miejsca, choć całą noc starałam się rozgrzać twoje ciało, a ty budziłeś się o świcie ze śladami wyczerpania na twarzy i twoja ślubna obrączka pulsowała wyraziście jak krew.

Właśnie to przypomina mi się teraz, w samym centrum promenady, po południu, pewnego dnia podczas tropikalnej zimy. Pamiętam twoje usta, ich miękkość; przywołuję wspomnienie ich ruchu, który doskonale dopasowany był do ruchu moich warg, łagodny i sprawiający ból, badawczy i skrepowany. Minęły już dwa lata od czasu, gdy spotkaliśmy się po raz pierwszy, od czasu gdy po raz pierwszy poczułam w sobie odmianę, której przyczyną była miłość. „Kocham swoją żonę”, powiedziałeś zaraz potem. Przez chwilę nie odzywałeś się, pograżyłeś się w myślach, a następnie spojrzaleś na mnie wzrokiem bolesnym i bardzo odległym. „Kocham ją. Naprawdę”.

W czasie długiej drogi powrotnej do Valley, do domu mojej przyjaciółki, nie rozmawialiśmy o miłości. Było znacznie więcej tematów, o wiele więcej sposobów wypełnienia ciszy, zapadającej niekiedy między ludźmi, którzy przez długi czas są ze sobą tak blisko.

Fiona przypuszcza, że przystałaby na każde warunki, by tylko mogła być blisko Raymonda, pierwszego mężczyzny, do którego poczuła ten nieprawdopodobny zamęt pożądania; żeby mogła klęknąć przed nim, wziąć go w usta i spoglądać spod półprzymkniętych powiek, jak jego głowa opada do tyłu, na oparcie kanapy w jej mieszkaniu, jego twarz i szyja nabierają srebrzystej barwy w ulicznych światłach, których blask wlewa się przez okno, żeby mogła obserwować, jak koncentruje się na przyjemnych doznaniach.

— Dlaczego właściwie to robie? — pytała na początku, przytulając policzek do jego uda.

— Nie rób więc, jeśli nie wiesz po co — odpowiedział miękko. nie poruszając się; potrząsnęła zatem tylko głową i robiła to nadal, ponieważ właśnie tego chciała.

Teraz szuka jego ciała, jakby ono było źródłem jej istnienia. Jego skóra jest biała jak marmur, pachnąca. Gdy zapada w sen z rękoma splecionymi wokół niego, a jej włosy rozrzucone są na jego brzuchu, rytm swego oddechu dostosowuje do jego, aż poczuje, że już nic ich nie dzieli.

Spotykali się prawie przez rok; ona ciągle nie ma jego domowego numeru telefonu, a gdy dzwoni do biura, zawsze przedstawia się innym nazwiskiem.

— Tu mówi Iris Cleary — podaje obojętnym, służbowym głosem. — Tak, będzie wiedział, w jakiej sprawie dzwonię.

Czasem, gdy tylko poda to nazwisko, które nie jest jej własnym, jego sekretarka łączy ją od razu, jeśli Raymond nie uczestniczy akurat w jakimś zebraniu lub nie wyszedł na zewnątrz, lecz równie często nazwisko to trafia na listę osób, które pozostawiły dla niego wiadomość. Bariery, które bronią do niego dostępu służbowym wrogom, dają dodatkowy efekt w postaci niedopuszczania także kobiety, przy której, jak mówi, czuje się całkowicie bezradny.

Potem Raymond wyjeżdża na wakacje ze swoją żoną z okazji ich piętnastej rocznicy ślubu.

— Będę myślał o tobie — mówi, a ona nie prosi go, by dodał coś jeszcze. Właśnie w tym mniej więcej czasie Fiona zaczyna budzić się o czwartej nad ranem, zawsze ze snu, w którym Raymond stoi na końcu opadającego w dół korytarza; z tyłu za nim jest wejście, które prowadzi do wnętrza samolotu. Ona biegnie w jego stronę z przeciwnego końca tego korytarza, wykrzykuje jego imię, a potem jeszcze kilka słów — ma wrażenie, że zapomniał dać jej coś ważnego. On, gdy ją słyszy, odwraca się i rozkłada ręce, nie podnosząc ich; po chwili unosi tylko otwarte dłonie, by pokazać, że są puste. Już wiatr z zewnątrz terminalu porывa jego włosy, układając je w lśniące fale, tak że wyglądają jak powiewająca flaga. Ubrany jest w kolory, jakich nigdy dotąd u niego nie widziała, nie jak zwykle w czarne garnitury i szare kaszmirowe swetry, ale w brązy i zielenie — kolory ziemi. Za jego plecami zjawia się stewardesa, by zaprowadzić go na pokład samolotu. Fiona budzi się zawsze w tym samym momencie, zanim on odwróci się, by wejść na pokład; widzi go, jak powoli zaczyna obracać się, widzi ruch jego ramion — nigdy nie ma nawet cienia wątpliwości, że odchodzi — pozostaje jedynie uczucie, że wszystko, co żyje na tym świecie, odchodzi razem z nim.

Fiona zaczyna przyzwyczajać się do odgłosów miasta o czwartej rano — układu liści na drzewach rosnących w sąsiedztwie, lekkiej jak oddech bryzy, cienkiego, urywanego śpiewu samotnego ptaka. Leży w łóżku, aż staje się to dla niej nie do zniesienia, wstaje więc i chodzi po podłodze pokoju gościnnego, zalaanej księżycowym światłem. Czuje, jakby jej ciało stanęło w ogniu, a ona cała dopalała się, podczas gdy jego nie ma przy niej. Czwarta rano jest godziną przełomową, pełną jeszcze ciemności, ale z dającą się już wyczuć jasnością, wyczekującą wewnątrz mroku, by rozbłysnąć jak światło elektryczne, które zapala się w sypialniach i kuchniach, gdy mężowie i żony budzą się i przygotowują do swych codziennych zajęć. Pozostała już tylko chwila, by niebo rozświetliło się, lecz zanim się to stanie, Fiona jest już kompletnie wyczerpana.

Nie może zrozumieć, jak to się dzieje, że inni ludzie mają romanse, a jednocześnie udaje się im prowadzić normalne życie. Często, choć ranek się jeszcze nie skończył, Fiona, w swym zmaganiu ze snem i wysiłkiem, by się podnieść, czuje, że zrobiła już wszystko, co do niej należało. Ze swego pokoju w college'u



sztuk pięknych, gdzie uczy, idzie prosto do sali gimnastycznej; tam, z włosami związanymi do tyłu, ściga się na stacjonarnym rowerze i wspina na cyfrowe wyżyny urzędów do ćwiczeń wysiłkowych, aż pot spływa jej między piersiami. Z głośników dobiega obsesyjny rytm muzyki, wokół niej zginają się kończyny kobiet wykonujących kolejne zestawy ćwiczeń.

— Cztery, trzy, dwa, jeden! — wykrzykuje instruktor aerobiku przez zaciśnięte zęby, rozciągając usta w uśmiechu przyklepionym do nich na stałe. Fiona myśli tam o Raymondzie, przypomina sobie, jak on uśmiechał się do niej, bardziej jednym kącikiem ust niż drugim, i jakie to było uczucie, gdy trzymał ją za rękę, a ich palce splatały się, jakby byli zakochanymi nastolatkami.

Przypomina sobie też, jak płakał, gdy ostatnio byli razem; twarde szloch wyrywał się z jego krtani, jak woda, która pokonuje długą drogę, rozbijając się o warstwy kamieni.

— Nie mogę jej zostawić — powiedział w ciemności, która już panowała w jej mieszkaniu. Jego twarz była blada jak kreda, poruszające się palce dotykały jej wilgotnego policzka. — Proszę, nie żądaj tego ode mnie.

Wieczory Fiona spędza w swojej pracowni; torby po jedzeniu i fotografie jego żony — Helen — leżą porozrzucone przed nią na biurku. Te zdjęcia wycina z różnych czasopism i gazet zamieszczających wzmianki o Raymondzie; większość z nich to zdjęcia reklamowe, choć są wśród nich i te zrobione na bankietach i przyjęciach, na których Helen była u boku męża. Jedno po drugim, Fiona rozrywa opakowania z ciastkami nadziewanymi kremem i pączkami poprószonymi cukrem, wkładając ich zawartość do ust zupełnie automatycznie; ogląda zdjęcia, dopóki nie poczuje sztywności w karku i pulsowania w skroniach.

Przypuszcza, że wie, jak to jest żyć wewnątrz ciała Helen, nosić jej ubrania, ten modny sweter ze złotymi guzikami, biały kostium. Czuje na swojej skórze szorstką pieśczętę kaszmirowego swetra i chłodniejszy, opływowy dotyk kostiumu. Nie ma najmniejszej wątpliwości, że żona jej kochanka, kobieta prawie w średnim wieku, jest nadal atrakcyjna. Używa szminki w kolorze śliwkowym, ma proste, jasne włosy, będące obramowaniem dla twarzy w kształcie serca. Ze-



wewnętrzne kąciki oczu lekko opadają, nadając jej twarzy badawczy wyraz.

TLR

Fiona najdłużej przypatruje się ostatniej fotografii, na której Raymond i Helen stoją u szczytu stołu w hotelowej sali balowej, mają właśnie zamiar usiąść, czy może oklaskiwać wystąpienie mówcy. Ich głowy i plecy są lekko pochylone, stąd Fiona wnioskuje, że patrzą na kogoś, kto stoi na podium. To zdjęcie zostało zrobione zaledwie cztery godziny po tym, jak Raymond przyszedł spotkać się z Fioną w jej mieszkaniu. A jednak ani w jego twarzy, ani w postawie nie ma niczego, co mogłoby świadczyć, że był ostatnio w intymnym związku z kimś innym niż ze swoją żoną. Stoją swobodnie obok siebie, a Fionie wydaje się, że dostrzega w nich spokój i miłość, które będą trwały nadal. Nie ma w tej parze nic ze skrepowania, niczego nienaturalnego. Widzi w ich twarzach i ciałach dwoje ludzi, którzy pozostaną atrakcyjni aż do wieku emerytalnego, którzy upodobnią się do par reklamujących ubezpieczenia na życie, ze świeżością ich srebrnych włosów i promieniami uśmiechu w oczach.

Fiona wpatruje się w fotografię, dopóki nie rozmyje się ona w czarne i białe punkciki, widoczne ziarno druku gazetowego. Nudności narastają w niej w kwaśną falę, gdy tak szuka dowodów romansu w twarzy Raymonda, właściwie nie wiedząc dokładnie, co naprawdę powinna w niej odnaleźć, żywiąc jednak przekonanie, że to coś musi tam być — niewielki siniak, muśnięcie szminki, półokrągły ślad po jej paznokciu na jego dłoniach. Ale jego ciało nie zdradza żadnego dowodu; uśmiecha się radośnie, jego żona uśmiecha się także, rozchylone wargi w kolorze czerwonego wina, pomiędzy którymi widoczne są jej zęby. Zanim zrobiono to zdjęcie, Fiona przygryzała jego usta w pocałunku, opierała się plecami o ścianę sypialni, a on trzymał ręce na jej ramionach; przygryzła je na tyle mocno, że puścił ją i krzyknawszy, odskoczył do tyłu. Zaśmiała się i delikatnie powiodła palcem po bolącej wardze; znowu zbliżył się do niej, ostrożnie, a ona pocałowała go delikatnie, przytrzymując jego dolną wargę między swoimi, jakby miała pęknąć przy mocniejszym naciśnięciu.

— Czasami zadajesz mi ból — powiedział jej kiedyś ze smutkiem.

On nie wie, że zadawanie mu jakiegokolwiek bólu nie wynika z jej podniecenia; robi to, ponieważ próbuje pozostawić na nim jakiś ślad po sobie. Dlatego gryzie jego wargi, jakby chciała, by pojawiła się na nich krew, jakby chciała zra-

nić jego elastyczną skórę i spróbować, jaki smak ma jego żywa tkanka. Dlatego chowa swą twarz i piersi w jego włosach, zostawiając w nich zapach swego ciała. Chce pozostawić choćby najmniejszy znak swojej bytności, tak, by kiedyś mogła go wskazać na zdjęciu i powiedzieć: „Ja to zrobiłam, miałam swój udział w życiu tego mężczyzny”. Ponieważ Raymond od samego początku był bardzo ostrożny, zostawiając jej, co najwyżej, odręcznie napisaną wiadomość, nie miała niczego, co mogłoby stanowić dowód, że on kocha jakąkolwiek inną kobietę poza żoną. w której gładkich włosach i złotej biżuterii odbija się światło.

Fiona nie wierzy już niczemu, co podają media, nie wierzy nawet fotografiom. Jak Raymond może się uśmiechać ze stron gazet bez najmniejszego nawet cienia na twarzy? Mdli ją na samą myśl o życiu prywatnym wszystkich tych osób, które są powszechnie znane — prawdziwym życiu mężczyzn przy boku ich żon, ich rodzin, ich kochanek, ale także ich życiu wewnętrznym, którego nawet najbliżsi nie mogą zgłębić.

Gdy zawroty głowy i mdłości ją przepelniają, idzie do łazienki i klęka przed toaletą, zwracając w postaci słodkiej zakalcowatej grudy pożywienie, którego przyjęcia odmówił jej organizm. Sprawia jej to ból, czasem więc przytrzymuje się krawędzi toalety i płacze, ale potem, gdy spryskuje twarz wodą i myje zęby, czuje się oczyszczona, znika ucisk, który miała w sobie. Czuje się gotowa, by wrócić do zdjęć, z pustym żołądkiem, oczyszczona z resztek pokarmu.

Po powrocie do pracowni Fiona czubkami palców dotyka twarzy Raymonda na zdjęciu, wodzi opuszkami po linii jego smokingu. Wygląda doskonale, jakby puścił już w niepamięć tamto popołudnie, jakby słuchał tylko słów, które padają z podium, dźwięku kieliszków i jak gdyby czuł przy sobie obecność żony. Fiona żałuje, że nie ugryzła jego wargi na tyle mocno, by krew sączyła się, spływając do jej ust, a na wardze Raymonda pozostała krwawa rana. Chciałaby, żeby na tej fotografii krzywił się przy każdym uśmiechu, a ślad na jego ustach skupiał na sobie oko czytelnika — czy to kleks, rozmazana farba drukarska? — i by jego żona stała sztywno, z trudem mogąc zdobyć się na uśmiech. Fiona chce, by wyglądali na zasmuconych, by mimo nadržania miną wyglądali na zniszczonych, jak ludzie, którzy rozpaczliwie doprowadzają się do porządku, żeby wystąpić pu-

blicznie po stoczonej walce. Ale widok ich postaci na zdjęciu w gazecie sprawia, że Fiona czuje, jakby sama w ogóle nie istniała; w takim sensie, w jakim powszechnie rozumiane jest istnienie, czuje, że jej po prostu nie ma.

W czasie weekendów, gdy Fiona idzie pobiegać, mijają na ulicach pary małżeńskie, które w sobotnie popołudnie zajęte są załatwianiem swoich spraw. Czasami mężowie przypominają jej Raymonda — ich włosy potargane są w taki sam sposób jak jego, gdy przesuwała po nich palcami, mają mocno zarysowane kości policzkowe, wystające prawie boleśnie z ich twarzy. U niektórych można dostrzec ten rodzaj wrażliwości, która nasuwa przypuszczenie, że mogą być bez trudu zdmuchnięci z obranej drogi, uwiedzeni przez inną kobietę. Wyglądają tak, jakby kiedyś w swoim życiu leżeli przebudzeni na łóżku, wpatrywali się w sufit, targani najrozmaitszymi uczuciami; z powodu tej ich słabości Fiona czuje nawet przyływ pobłażliwości dla tych nieznajomych.

Kiedyś po przeciwnej stronie ulicy zobaczyła kobietę, która wyglądała jak Helen. Stała na werandzie niedawno wyremontowanego domu, szukając w torebce okularów przeciwsłonecznych; miała na sobie biały żakiet i jedwabne spodnie, a jej proste, sięgające ramion włosy rozdzielały się w miejscu, w którym ocierały się o kości obojczykowe. Fiona zatrzymała się i stała tak przez chwilę, bez tchu. Wykrzywiając stopę, obserwowała tamtą kobietę zza zaparkowanego na ulicy samochodu, czekała, zanim przejdzie przez trawnik, dojdzie do chodnika, stukając wdzięcznie obcasami, i wsunie się na siedzenie pasażera w czekającym na nią jaguarze. Fiona przykucnęła, gdy kierowca zerknął w jej stronę; udawała, że poprawia sznurowadło, gdy uruchamiał silnik.

Choć Fiona przypuszcza, że w dowolnie wybranym momencie i dowolnym miejscu na ziemi zaczyna się i kończy jakiś romans, zdolna jest widzieć jedynie własną sytuację, w której swój udział mają Raymond i Helen. Tysiące razy wyobrażała sobie, jak dzwoni do pracy do Helen, doprowadzając ją do płaczu za pomocą zaledwie kilku słów o delikatnych pocałunkach jej męża na jej — Fiony — twarzy, dłoniach, brzuchu, o tym, jak przygryzał brodawki jej piersi, aż stawały się czerwone i bolesne. Zdaje sobie sprawę z tego, że ma obsesję na punkcie Helen, która cieszy się przywiązaniem Raymonda, w przeciwieństwie do niej;

wie dobrze, że on zawsze w końcu wróci do swojej żony, bez względu na to, z kim się spotyka i dokąd chodzi. Chciałaby, żeby całe to jego oddanie mogło przybrać formę jednego namacalnego przedmiotu, który mogłaby wycisnąć z jego żony. Myśli tak wtedy, gdy spędza czas na sali gimnastycznej, siedząc na ławeczce przed stojakiem z hantlami, przyglądając się swoim bicepsom widocznym w lustrze, jak przy każdym zgięciu ręki tworzą się twarde wzgórki. Myśli o swoich mocnych dłoniach splecionych na delikatnej, jak przystoi żonie, szyi Helen, jeszcze nie zniszczonej przez zmarszczki i bruzdy, splata dłoń na tej szyi w coraz silniejszym uścisku, aż tamta z jękiem nie wypluje z siebie miłości Raymonda. Teraz nareszcie może ją uwolnić, pozwolić, by jej głowa odskoczyła do tyłu, jej ciało opadło bezwładnie jak korpus lalki, zbyt często używanej do zabawy, teraz zasługującej już tylko na odpoczynek, przekazanie dziecku, które miało mniej szczęścia w życiu, lub zwyczajnie na wyrzucenie.

Pewnego dnia, mniej więcej rok po tym, jak zaczął się ten romans. Fiona zjawiała się na eleganckim przyjęciu, na które także jej kochanek i jego żona otrzymali zaproszenie. Na tę okazję Fiona wybrała białą sukienkę z okrągłym kołnierzykiem i koronkowymi rękawami. Wymiotowała już dziś dwa razy, więc teraz czuje się niemal zwiewnie, gdy idzie w stronę stolika znajdującego się tuż przy wejściu do sali balowej, a przy którym siedzi jej kochanek.

— Witaj. Raymondzie — mówi, wyciągając do niego rękę.

Mięśnie jego twarzy sztywnieją w jednej chwili. Zaczyna szybko mrugać, jakby chciał pozbyć się pyłku lub rzęsy, która nagle wpadła mu do oka. Dotyka jej wyciągniętej dłoni, po czym cofa rękę tak gwałtownie, że jej palce zamykają się w powietrzu.

Helen z miłym uśmiechem zwraca się w jej stronę i czeka, aż zostanie przedstawiona. Fiona wiedząc, co przyniesie następna chwila, stara się, by ta obecna była jeszcze bardziej dojmująca, chce zapisać w swej pamięci aktualny obraz jego żony — jej starannie umalowane błyszczące oczy, ciało w drogim ubraniu i skropione kosztownymi perfumami. Widzi z bliska delikatną, wiotczącą pod oczami skórę jego żony, niezbyt głębokie linie zmarszczek i powiększone pory, których żadna warstwa podkładu nie jest w stanie zatuszować. Czuje prawdziwe

współczucie dla Helen, tej, która istnieje teraz i już nigdy nie będzie taka sama; Helen, której świat jest stabilny, a mąż godny zaufania. Fiona chce ją objąć tam, wśród morza stolików, dyskretnie poruszającej się obsługi, w doskonałości tej chwili, póki jeszcze Helen tu jest.

Jednak to, co przyniesie im najbliższa przyszłość, z pewnością sprawi, że z twarzy Helen zniknie beztraska, ustępując miejsca konsternacji. Fiona głęboko wciąga powietrze, które wydaje się w widoczny sposób unosić i falować wokół niej. Gdy otwiera usta, stwierdza, że nie ma nic do powiedzenia, nie znajduje ani jednego słowa mogącego opisać miniony rok jej życia. Zamiast tego wyciąga rękę, czubkami palców muskając włosy tamtej kobiety.

Helen odsuwa się strwożona, opada na oparcie krzesła, jakby została uderzona przez tę nieznajomą, której dłoń pozostaje zawieszona w powietrzu. Obie kobiety zwracają się teraz w stronę mężczyzny, którego kochają, czekając na jego reakcję, na słowa wyjaśnienia.

---

## 6.

Mój przyjaciel Martin był zakochany w innej kobiecie, gdy poznał Jill — dziewczynę, z którą się ostatecznie ożenił. Debbie, jego pierwsza wybranka, nie odwzajemniała tego uczucia. Dowiedział się, że przez ostatnie miesiące trwania ich związku oszukiwała go — były to te same miesiące, w ciągu których leżał w nocy, nie śpiąc, z jej twarzą spoczywającą na jego piersiach, i myślał: „Chcę mieć dzieci z tą kobietą”.

Wkrótce potem jak ze sobą zerwali, zadzwonił do mnie i spotkaliśmy się na kolacji w restauracji w śródmieściu. Nie widziałam go przynajmniej od siedmiu miesięcy; był bardzo zajęty przejmowaniem firmy brokerskiej swego ojca. Pomyslałam, że mój przyjaciel wygląda wspaniale — nie było na nim śladu czło-



wieka przepelnionego cierpieniem, człowieka, który kochał i stracił swoją miłość. Szerokie, dobrze umięśnione ramiona, typowe dla niego roztargnienie intelektualisty, roziskrzona oczy i skręcony kosmyk włosów spadający mu na czoło, bez względu na to, jak często go odgarniał

— Fiona, czy ty wiesz, czego bym najbardziej chciał? — zapytał, dłubiąc w swoim *carpaccio* z tuńczyka. — Chciałbym przespać się z nią jeszcze raz. Wszystko już sobie zaplanowałem. Powiedziałbym, że jej przebaczam, że bardzo się za nią stęskniłem, zaprowadziłbym ją do sypialni i pieprzył. Potem, zaraz potem, jak osiągnie szczyt — zaraz potem — złapałbym jej ubranie z podłogi i rzucał jej w twarz. „Hej! Ubieraj się, ty patetyczna dziwko! Wynoś się stąd”. Ciągłe jeszcze byłaby rozdygotanym wrakiem na łóżku, a ja odwróciłbym się na pięcie i ją zostawił. Ciekawe, jak ona by się czuła.

— Hmm, no cóż — odpowiedziałam. — Spotykasz się z kimś teraz?

— Mam kogoś — przyznał. Spoglądał przez moje ramię w kierunku stolika przy oknie, przy którym siedzieli mężczyźni ubrani w garnitury. — Jill jest prawnikiem w firmie Legal Aid. To naprawdę miła dziewczyna, chyba najbardziej sympatyczna z tych, które znam. Ale jest trochę nieśmiała, niewiele wymaga od życia. Lubię ją, nie ma jednak tego, no wiesz, co było z Deb.

— Może nie jest to jeszcze ta właściwa.

Dopił wino z kieliszka, oparł się na krześle. Przechodząca obok kelnerka uśmiechnęła się do niego, a on obserwował w zamyśleniu jej oddalającą się sylwetkę, pochyloną w taki sposób, że wydawała się prawie śmieszna.

— Wszystko zależy od tego, w jakim stopniu ważna jest prawdziwa namiętność, nie sądzisz? — dodał po chwili.

Nie minęło wiele czasu od tamtej kolacji, kiedy spotkałam cię i po raz pierwszy poczułam, że jestem zakochana. Staraleś się nic nie mówić o swojej żonie, ale i tak wiedziałam, że znajduję się na dalekim, trzecim miejscu, po twojej pracy i Helen. Strasznie się kłóciliśmy, mówiłam przykre rzeczy, aż wzięłeś głęboki oddech i wyszedłeś. Byłeś człowiekiem nadzwyczaj pragmatycznym, który umiał

przekalkulować, czy warto podejmować ryzyko, by wejść w posiadanie czegoś, na co być może miałaś ochotę. Najwidoczniej zdecydowałaś, że nie byłam tego warta, ponieważ wróciłaś do swojej żony, która nigdy się nawet nie zorientowała, że pierwsze miejsce przy niej, przeznaczone dla ciebie, było przez jakiś czas puste.

Gdy odszedłeś, w desperacji zadzwoniłam do jednej z moich przyjaciółek i opowiedziałam jej o tobie. Nigdy nie czułam się na tyle blisko związana z moimi przyjaciółmi, by opowiadać im o szczegółach tego związku, ale Sharon była osobą życzliwą, i mimo że powiedziałam jej tak niewiele, opowiedziała mi także o swoim romansie, który w jakiś zagadkowy sposób trwał już pięć lat.

— Kłóciliśmy się i krzyczałam na niego, potem byłam przerażona, bo oto ja—inteligentna, niezależna kobieta, ze wspaniałą karierą — otworzyłam usta, a te banały same się z nich wylewały. To było tak, jak gdybym całkowicie straciła kontrolę nad sobą.

I w końcu, w pewien weekend, gdy jego żona wyjechała, postanowiłam, że muszę z tym skończyć. Byłam u niego w domu, sporo wypłam i w środku nocy wymknęłam się do łazienki, przykucnęłam pod umywalką i, zwinięta w kłębek, płakałam. Siedziałam tam, szlochając całą noc, gdy tymczasem on spał na górze, aż wreszcie rano otworzyłam drzwi i odeszłam.

Sharon była bardzo opanowaną osobą, wiedziałam o tym, i z trudem mogłam sobie wyobrazić ją, w tych jej okularach w drucianej oprawie i zakiecie od Donny Karan, jako zalaną łzami kochankę.

— No, ale jak tam twój przyjaciel? Jest żonaty — podsumowała. — Zawsze był, więc tego przypadku nie można zakwalifikować jako odrzucenie ostateczne, bez prawa apelacji.

Mimo że próbowała okazać mi współczucie, byłam nadal zdruzgotana. W ciągu kilku następnych miesięcy czułam się tak, jakbym żyła pod wodospadem. Wprawdzie jadłam, spałam i pracowałam jak zwykle, ale wszystko to działo się w pewnej odległości, zatopione przez to, co zdarzyło się w związku z tobą.

Byłam więc zadowolona, gdy otrzymałam zaproszenie na jedno z tych przyjęć, które odbywały się u Martina dwa razy do roku. Zawsze przychodziło na nie kilkadziesiąt osób — przeważnie młodych lekarzy i prawników w garniturach i krawatach, kilku miejscowych artystów, aktorów i pisarzy.

Jill, nowa dziewczyna Martina, okazała się uroczą, ale kapryśną kobietą, która rzuciła się na mnie z tacą pełną drinków, ledwie tylko weszłam. Ciemne włosy miała rozpuszczone na ramiona i cały wieczór spędziła na nieustannym poprawianiu ich, gładzeniu pojedynczych pasemek, zupełnie jakby jej włosy były jakimś domowym zwierzątkiem albo futrzanym kołnierzem. Polubiłabym ją pewnie bardziej, ale wprowadzała mnie w taki nerwowy nastrój. Jej niepokój był zaraźliwy, jej desperacja, by przyjęcie się udało, polegała na tym, że obserwowała swoich gości w paroksyzmie spostrzegawczości — choć przecież, mimo jej starań, w każdej chwili ktoś mógł zrobić coś niestosownego, na przykład zacząć się jękać czy wybuchnąć płaczem. Zaczynałam się obawiać, że to ja mimowolnie zrobię coś po to tylko, by ona zaczęła mi współczuć; z pewnością popsułabym jej cały wieczór. W czasie gdy podawano koktajle, siedzieliśmy wokół ścian pokoju gościnnego; próbowałam zająć ją rozmową, wspominając przedstawienie, które ostatnio obejrzałam.

— Och, ja niezwykle rzadko chodzę do teatru — powiedziała ze skruchą. — Bardzo się denerwuję, gdy patrzę na aktorów. Martin zawsze kupuje dla nas najlepsze miejsca, aleja siedzę na samym brzegu krzesła i zupełnie nie mogę się odprężyć. Jestem prawie pewna, że pomylą się im kwestie, a ja przez to stracę całe przedstawienie.

Przyjęcie było jak zawsze efektowne. Nie mogłam jednak przestać myśleć o tobie. Gdy wnoszono kolejne dania i ustawiano je na stole w blasku świec, wydawało mi się, że oglądam film wyświetlany przez porysowany i zamglony obiektyw. Twarze były zamazane, rozmowy toczyły się w zwolnionym tempie. Wydawało mi się, że potrafię przewidzieć, co nastąpi za chwilę: w tym przyjęciu było coś dotkliwie znajomego. I wtedy uświadomiłam sobie, że minęło tak wiele czasu, odmierzanego przyjęciami u Martina, że zapomniałam już o rozmowach, które prowadziliśmy sześć miesięcy temu, zadając sobie te same pytania i opo-

wiadając te same anegdoty; słuchając rozmów toczących się przy stole, wiedziałam, że wszystkie słyszałam już wcześniej. Był tu młody lekarz, zdumiony tym, że nie zachorował, choć pojechał odwiedzić swoją rodzinę we wschodnich Indiach, gdzie akurat panowała pora monsunowa, a on nierozważnie wypił kwartę mleka rozcieńczonego wodą, które stara kobieta sprzedawała na rynku. Była także młoda żona, której mąż w ciągu minionego roku został najważniejszą w kraju osobą odpowiedzialną za kontakty pomiędzy środowiskiem zaangażowanym w walkę z AIDS a mediami; narzekała szczególnie na to, że jej mąż rozpoznawany jest w restauracjach czy operze i że czasami odbierają pełną nienawiści korespondencję i telefony z pogrózkami; oburzeniem w głosie nie była w stanie pokryć podekscytowania, którego źródłem były te emocjonujące zmiany w ich życiu. Była tam również Monique, modelka; zmorą jej życia było to, że uważano ją za zbyt piękną, by mogła występować na najbardziej liczących się pokazach mody.

— Nie jestem dość brzydka, nie mam tej dziwacznej skazy na twarzy, która sprawiałaby, że można mnie łatwo zauważyć — mówiła.

Ubrana była w krótką sukienkę, pod którą jej piersi podskakiwały luźno; jadła tylko to, co stanowiło przybrania talerzy, zachłannie oblizując palce za każdym razem, gdy brała coś do ust; rzucała spojrzenia w kierunku otaczających ją mężczyzn, gdy z wyraźnym młaśnięciem wyjmowała z ust każdy palec. Zwykle na przyjęciach piła za dużo i opowiadała historyjkę, jak to pewnego razu była już tak podniecona w czasie gry wstępnej, że posusiała się w łóżko, co jednak nie zniechęciło jej partnera — odwrócili więc materac na drugą stronę i kochali się dalej. To znowu przypominała sobie zdarzenia z poprzedniego przyjęcia, ale tym razem zakrywała dłonią kieliszek do wina i ograniczyła się do opisanego szpakowatego prezesa agencji modelek, dla której pracowała.

— Najbardziej seksowny i najprzystojniejszy starszy pan, jakiego kiedykolwiek spotkałam. O mój Boże, nie wiem, co bym zrobiła, gdyby chciał się ze mną przespać.

Było to jedno z tych przyjęć, podczas których była trzeźwa.

Po kolacji poszłam poszukać Martina; znalazłam go w kuchni, gdzie przygotowywał kawę.

— Wspaniały wieczór, jak zwykle — powiedziałam, wspinając się na palce, by pocałować go w policzek.

— Dziękuję. Zostań jeszcze, porozmawiaj ze mną. Udało ci się pogadać z Jill?

— Przez chwilę — powiedziałam, wyciągając stołek spod bufetu i licząc na wyjaśnienia. — Jak to naprawdę z nią jest?

Przebiegł mnie dreszczyk poczucia winy, jaki zwykle odczuwają ludzie, rozmawiając o kimś za jego plecami, szczególnie o kimś, do kogo są przyjaźnie nastawieni, czy nawet go podziwiają. Jako nastolatka często dopuszczałam się drobnych, a czasem nawet poważniejszych aktów zdrady. Nigdy nie były one wcześniej zaplanowane i wydawało się, że wyrastają z nagle otwartego dostępu do źródła nikczemności tkwiącej gdzieś w moim wnętrzu, tak że najczęściej byłam nieświadoma tego, co robię. Moje najbardziej żywe wspomnienia dotyczyły pewnego zdarzenia, po kłótni z matką; miałam wtedy piętnaście lat. Zostałam przyłapaną na wagarach i matka natychmiast niesłusznie uznała, że spędziłam to popołudnie z chłopakiem. Chodziła za mną po domu, wymyślała mi od ładacznicy i dziwki, spluwając przy tym z pogardą. Wkrótce potem wyjechałam na tydzień z rodzicami mojej przyjaciółki, która studiowała w Europie. Jej ojciec był właścicielem księgarni; matka, kobieta o otwartej, szczerzej twarzy wiejskiej dziewczyny, zajmowała się domem. Byli akurat w trakcie rozwodu i w noc poprzedzającą mój powrót do domu siedziałam z panią Morrison przy kominku, pijąc wino. Miała na sobie długą wzorzystą suknię i pamiętam, że kieliszek z winem trzymała jak filiżankę z herbatą, splatając dłonie wokół niego, jak gdyby w poszukiwaniu ciepła; miała wystrzępione, obgryzione paznokcie, aż po opuszki palców.

— Byliśmy dobrym małżeństwem — powtarzała. — Nie powinnam ci tego mówić, ale nie mogę przestać myśleć o tym, jaka będzie ta pierwsza kobieta, z którą on się prześpi po naszym rozwodzie. Być może nawet z kimś już się spoty-

ka, tego nie wiem. Nie mogę się jednak zdobyć na to, by go zapytać, lecz ta myśl stale mnie prześladowuje. Przynajmniej kiedy jest w domu, wiem, że nie jest w łóżku innej.

Nieco później tej nocy on wszedł do mojego pokoju, rzucił ostatnią przesyłkę książek na stary bujany fotel.

— Zdejmij podkoszulek — wyszeptał.

Jego okulary połyskiwały w mroku. Nagle zapragnęłam, by jego żona cierpiała, jakby to ona była moją matką. Wszystko odbyło się bardzo szybko i zaraz potem poszłam napić się czegoś do kuchni. Odczuwałam ogromne pragnienie i piłam sok pomarańczowy prosto z otwartego kartonu wyjętego z lodówki. Gdy się odwróciłam, uświadomiłam sobie, jak obcy był ich dom w nocy; próbowałam po omacku znaleźć kontakt, by zapalić światło, ale wreszcie zaczęłam wchodzić po schodach w ciemności. Na górze stanęłam przed dwojgiem zamkniętych drzwi — nie mogłam sobie przypomnieć, które z nich prowadzą do pokoju gościnnego, a które do sypialni jego żony. Po chwili, zaciskając zęby, wybrałam. Otworzyłam drzwi po swojej prawej stronie; była tam ona. Z łóżka podniosła się postać o kobiecych kształtach, ubrana w nocną koszulę, z włosami spływającymi na ramiona jak wosk, i zapytała delikatnym głosem:

— Ian? Czy to ty?

A ja odpowiedziałam:

— Nie, nie, to ja. Pomyliłam pokoje.

Ona odrzekła spokojnie, jak matka:

— Och, nic nie szkodzi. — Po czym, moszcząc się z powrotem pod kołdrą, wymamrotała śpiącym głosem: — Dobranoc, dobranoc.

Pan Morrison wrócił już do swego gabinetu, gdzie rozstawił sobie łóżko. Następnego dnia wczesnie rano wszedł, unikając ewentualnej sceny. Byłam przerażona, z jaką łatwością przyszło mi objąć jego żonę i podziękować za gościnność, obiecując uporządkować sprawy z moją rodziną, zanim wrócę do domu.



— No więc, jak to jest naprawdę z Jill? — zwróciłam się do mego przyjaciela. — Nie wydaje się w twoim typie. Ciągłe wzdychasz do dawnej miłości?

Martin odwrócił się od szafki, z której wyjmował filiżanki i podstawki. Obzucił mnie poważnym, ostrzegawczym spojrzeniem.

— Z Jill układa się doskonale.

Czułam, że jestem niedelikatna, ale mimo całego zakłopotania nie mogłam się powstrzymać i drażylałam dalej.

— Och, daj spokój, mnie przecież możesz powiedzieć. Wszyscy są tam i słuchają Monique i jej opowieści o srebrnym lisku; połowa obecnych tu mężczyzn chciałaby, by ich włosy stały się w jednej chwili srebrzyste, tylko po to, by mogli jej zaproponować łóżko.

— Jill i ja jesteśmy ze sobą bardzo szczęśliwi — odpowiedział twardo, wpatrując się we mnie wzrokiem, z którego odczytałam, że nie przyjmie żadnych zastrzeżeń z mojej strony.

Ja pierwsza odwróciłam oczy.

— Przepraszam cię, to rzeczywiście brzmi poważnie.

— To jest poważne. — Zamilkł na chwilę, obracając filiżankę w dłoniach, jak gdyby sprawdzał, czy jest idealnie czysta. — Zamierzamy się pobrać, więc się zamknij, dobrze?

Tego wieczoru wyszłam wcześniej. Jill, podając mi płaszcz, niepewnie objęła mnie w talii.

— Jestem taka szczęśliwa, że w końcu poznałam przyjaciół Martina — zwróciła się do mnie.

— Dziękuję za kolację — powiedziałam.

Martin stał za nią, trzymając ręce na jej ramionach. Przyglądał mi się bez cienia emocji, gdy ona splotła swoje palce z jego i przytuliła jego dłoń do swojej twarzy. Promieniała, a z blasku w jej oczach wywnioskowałam, że jest zakochana.

Martin i Jill pobrali się i z pomocą rodziców kupili dom. Rozmawiałam z nim czasem przez telefon; został wspólnikiem w firmie, Jill była w ciąży i czuli się szczęśliwi, urządzając swój nowy dom. Nasze rozmowy były krótkie, ale zawsze sympatyczne.

Tuż przed Bożym Narodzeniem Martin zatelefonował do mnie i powiedział, że organizuje u siebie w domu przyjęcie.

— Jestem już ojcem — powiedział — od trzech tygodni. To chłopczyk!

Było ciemno, gdy taksówka zatrzymała się na podjeździe przed ich domem. Podeszłam do drzwi wejściowych, lecz zanim zdążyłam sięgnąć do kołatki, Martin otworzył drzwi.

— Cześć, Fiona!

Uścisnęliśmy się. Przytył, koszulę miał luźno wpuszczoną w spodnie.

Po chwili do holu weszła Jill, trzymając na rękach niemowlę. Pochylała twarz nad dzieckiem. Ubrana była w długie, zwiewne warstwy jedwabiu; wyglądała jak Hinduska w sari; w jej ruchach widoczny był spokój sprawiający, że wydawała się zupełnie inną osobą. Gdyby nie ruch ręki, który zrobiła, by przyglądać włosy, zanim jeszcze uśmiechnęła się do mnie, prawdopodobnie nie poznałabym jej od razu.

— A to jest mały Andrew — powiedziała.

Pochyliłam się nad zawiniątkiem w jej ramionach. Twarzyczka, która obróciła się w moją stronę, wykrzywiła się, ziewając. Skóra na piąstkach dziecka była prawie przezroczysta, niebieskie żyły prześwitywały przez nią, a paluszki wyglądały jak garstka surowych krewetek.

— Dotknij tutaj — powiedziała — środek jego główki jest jeszcze miękki.

Przesunęła dłonią po jego główce, która pokryta była delikatnymi włoskami. Zrobiłam to samo, ale wydawała mi się twarda.

— Nie, tutaj, w tym miejscu. Możesz nawet nacisnąć troszkę mocniej, nie zrobisz mu krzywdy.

Położyłam palce w miejscu, które przed chwilą ona dotykała, i wtedy znalazłam ten punkt, jak stłuczenie, wgłębienie czy wgniecenie, jego najbardziej wrażliwe miejsce, w którym kości nie były jeszcze całkowicie zrosnięte wokół mózgu. Ogarnął mnie dreszcz emocji, ponad zmysłami i poza granicą rzeczywistości — przez jedną chwilę żałowałam, że nie zaszłam w ciążę z Raymondem.

Martin ujął mnie pod łokieć i oprowadził po domu. Było w nim kilka łazienek i sypialni, ogromna kuchnia, korytarze z rzędami okien, sięgających od podłogi do sufitu, przez które można było zobaczyć drugie skrzydło domu po przeciwnej stronie ogrodu. Większość gości zgromadziła się w salonie; tylko nieliczni należeli do tej samej grupy, która uczestniczyła w dawnych przyjęciach. To nowe towarzystwo składało się przede wszystkim z par małżeńskich prowadzących rozmowy przyciszonymi, ugrzecznionymi głosami; niektóre młode żony przyniosły ze sobą swoje niemowlęta, a wraz z nimi torby pełne pampersów i koków. Na nogach miały wygodne obuwie, a na ich twarzach, zaabsorbowanych i szczęśliwych, nie było śladu makijażu. Była tam także Monique, stała przy wieży stereo, lecz mężczyźni spoglądali w jej stronę wzrokiem raczej nieobecnym i nie wyrażającym zainteresowania, jakby nie byli pewni, w jaki sposób zareagować na jej obecność.

Kilka godzin później znaleźliśmy się z Martinem na tarasie wychodzącym na niebieski zarys pustego basenu. Prawie wszyscy goście już wyszli, zabrali swoje ciężkie okrycia i wózki dziecięce i przyjęli zapakowane w folie resztki deserów i zakąsek, przygotowanych przez Jill na przyjęcie. Martin w zamyśleniu pociągnął łyk niskosłodzonego napoju z puszki i oparł się o drewnianą poręcz, przyglądając się cieniom i światłu, które były jego własnością.

— Rozmawiałaś z dziewczyną Allana? — zapytał mnie po chwili.

Allan, młody prawnik, był jednym z gości na dawnych przyjęciach, lecz nigdy nie zamieniliśmy ze sobą więcej niż kilka słów. Tego wieczoru pokazał się na krótko w towarzystwie kobiety uwieszanej u jego ramienia. Miała nastroszone blond włosy i ubrana była w sukienkę z czarnej lycry. Byli bardzo krótko; w sobotni wieczór jego dziewczyna nie wydawała się zachwycona perspektywą picia wody mineralnej i prowadzenia rozmów z kobietami, które jednocześnie karmiły piersią swoje dzieci.

— Nie, nie sprawiała wrażenia zbyt rozmownej.

— Czy powiedziała do kogokolwiek chociaż dwa słowa? Czy w ogóle miała jakieś imię?

— Chyba Tiffany.

Roześmiał się ironicznie; ostry, gwałtowny dźwięk rozległ się w nocnej ciszy. — Allan — muszę przyznać — bardzo dobrze sobie radzi. Ale zobaczysz, szybko zorientuje się, że to za mało.

— Masz piękny dom — powiedziałam, starając się, by nie zabrzmiała w tym nuta zazdrości. — Jill wygląda wspaniale, a do tego nie mogę wprost uwierzyć, że jesteś ojcem. Jesteś szczęśliwy? To znaczy, czy wszystko jest tak, jak myślałeś, że będzie?

Patrzył poza mną w stronę kuchni, z której światło docierało do nas przez ścianę okien. Oboje słyszeliśmy, jak Jill go wołała, cicho, potem głośniejsze, aż po chwili stanęła w drzwiach, ciągle trzymając dziecko w ramionach. Za nią stali mężczyzna i kobieta.

— Kochanie, Curtisowie wychodzą — powiedziała. — Myślałam, że chcesz odprowadzić ich razem ze mną.

Martin zgniótł w dłoniach puszkę po wodzie sodowej i zwrócił się do mnie z uśmiechem.

— Oczywiście, że chcę — odpowiedział.

Jego oczy jaśniały; pomyślałam, że z radości.

— Małżeństwo, dzieci — to jest cudowne, gdy spotyka się właściwą osobę. Niczego, co przeżywało się dotychczas, nie można z tym porównać.

Obserwowałam go, jak szedł przez taras w kierunku swojej rodziny, domu oświetlonego w oryginalny sposób. Myślałam o tych chwilach, w których ty używałeś identycznych słów, by opisać swoje małżeństwo; było to na samym początku naszego związku. W końcu sobie uświadomiłam, że to było twoje małżeństwo, które trwało; twoje małżeństwo, do którego wróciłeś — po chwili weszłam za moim przyjacielem do środka, gdzie w salonie ktoś wreszcie włączył muzykę.

---

## 7.

Fiona obserwowała pewnego mężczyznę po przeciwnej stronie sali, który przypominał jej Raymonda. Miał siwe włosy, czarny garnitur; ramiona jego marynarki uniesione były tak, jakby zostały wypchnięte za pomocą ekierki i czubka świeżo zatemperowanego ołówka.

Uroczystość, zorganizowana w związku ze zbiórką funduszy dla środowiska artystycznego, odbywała się w sali bankietowej pewnego śródmiejskiego hotelu. Wysoko zawieszony, przezroczysty sufit przecinały promieniście rozchodzące się kapilary; całość sprawiała wrażenie szklanej groty. Zgodnie z obecną modą mężczyźni występowali w krawatach z ostrymi, rzucającymi się w oczy wzorami; kobiety były wystrojone w czarne suknie i buty retro. Właścicielka galerii, której Fiona nie darzyła sympatią, zjawiała się w sukni odsłaniającej ramiona, uszytej z błyszczącej, ciężkiej tkaniny; z jej kapelusza wyrastały pióra, a na rękach miała rękawiczki sięgające łokci. Wyglądem przypominała trochę strusia, cały czas kręciła się natrętnie w zasięgu wzroku Fiony.

Fiona pocałowała w policzek pewną artystkę fotografika, której nie widziała przynajmniej od kilku miesięcy; kobieta ta była w ciąży i przez cały wieczór trzymała dłoń na brzuchu. Młody homoseksualista rzeźbiarz, którego Fiona wi-

działa ostatnio dwa lata temu, założył sobie kolczyk w kąciku ust; widoczna część w kształcie półksiężyca sterczała teraz jak róg, jak złota drzazga, w jego policzku.

— Jak się masz? — zagadnęła go. — Co się z tobą działo?

— Świetnie — odrzekł. — Wyglądasz wspaniale.

— Ty też — odpowiedziała. — Trudno w to uwierzyć, że minęły aż dwa lata.

— Dwa lata — zdumiał się. — Wiele ciał.

Roześmiała się.

— U mnie podobnie.

— Ale teraz jestem sam — dodał. — Znowu sam.

Mężczyzna, któremu przyglądała się Fiona, przeszedł w inne miejsce i teraz stanął przy kamiennej tablicy, w której tkwił jedwabny biały kwiatek wsunięty w jedno z jej pęknięć. Sztuczny wodospad połyskiwał obok mężczyzny, woda wlewała się w rynnę ze specjalnym odpływem w dolnej części. Fiona przeprosiła rzeźbiarza i skierowała się w stronę mężczyzny, pozdrawiając skinieniem głowy znajomych, spotykanych po drodze.

Stwierdziła, że z bliska jego podobieństwo było jeszcze bardziej wyraźne — wystające kości policzkowe, wyprostowana sylwetka, jasna, napięta skóra, uważne i właściwie obojętne spojrzenie, gdy zwrócił oczy w jej stronę. Po tym, co zobaczyła, zaraz zapagnęła udowodnić, że nie miała zamiaru go urazić, lecz jednocześnie chciała pokazać, że jest interesująca, warta jego uwagi. To samo zawsze czuła w obecności Raymonda.

— Tylko przy jednej kobiecie miałem takie poczucie bezpieczeństwa — powiedział kiedyś Raymond — i ona została moją żoną.

Ale właśnie to, co w związku z Fioną było pozbawione bezpieczeństwa, sprawiało, że była ona pociągająca — pionek w jego przelotnym flircie. Zdarzało



się, że nawiedzała ją taka destrukcyjna myśl. Ostatnim razem wyglądał lepiej niż przed rokiem, gdy w dobie recesji wszyscy starali się walczyć o przetrwanie swoich firm. W długiej, luźnej marynarce i ciemnoszarych lnianych spodniach prezentował się tak, jakby właśnie zszedł z wybiegu u Calvina Kleina. Gdy tylko stanął w drzwiach, wiedziała, że zbliża się koniec ich związku — tkwiąca w nim słabość, dzięki której ich romans w ogóle był możliwy, została rozpoznana, przeanalizowana i pokonana w profesjonalny sposób.

Zastanawiała się, do jakiego rodzaju miłości można zaliczyć tę, którą czuła do Raymonda, skoro chciała widzieć go sparaliżowanego, jeśli pragnęła złamać mu kości nadgarstków czy kostek u nóg, zmiażdżyć go, żeby potrzebował jej znowu, po to, by poskładała go raz jeszcze w jedną całość.

Fiona przedstawiła się mężczyźnie, który przypominał jej Raymonda. Nie była nim zainteresowana; chciała po prostu zobaczyć wyraz jego twarzy, gdy z nią rozmawiał, porównać z twarzą mężczyzny, którego kochała. Gdy po chwili zaczął spoglądać ponad jej ramieniem, gdy oparł się o kamienną tablicę i kręcił ze zniecierpliwieniem, jeszcze bardziej przypominał Raymonda. Ale odróżniała go siateczka wyraźnie widocznych zmarszczek pod oczami, głębokich, układających się we wszystkich kierunkach; linie te wyglądały tak, jak gdyby zrobiono je ostrzem brzytwy. Któregoś dnia Fiona, patrząc w lustro w łazience, zauważyła, że pod oczami robią się jej zmarszczki, promieniujące do wewnętrznych kącików oczu, delikatne, ale widoczne. Pomyślała, że może kiedyś, w przyszłości, wróci myślami do tej chwili, którą będzie kojarzyła z pojawieniem się na jej twarzy pierwszych oznak kłopotów, wpisywanych w nią od tej pory przez resztę życia.

Nie mieli sobie nic do powiedzenia, lecz on, nawet nie zdając sobie z tego sprawy, i tak sprawił jej satysfakcję, układając twarz w taki sposób, że upodabniał się do Raymonda, co wywoływało w niej uczucie narastającego bólu, obawy i pożądania. Jej twarz pozostawała niewzruszona, uprzejmy uśmiech nie wyrażał żadnej zachęty, najmniejszej sugestii — nie mógł nawet przypuszczać, że uwikłała go w swoje fantazje.

Gdy zauważył, że grupka osób zaczyna kierować się w stronę wyjścia, umawiając się jeszcze na kolację i drinka, obiecując zadzwonić i umówić na spo-

tkanie, przeprosił ją i oddalił się w poszukiwaniu swojej żony. Dość młoda kobieta o równo obciętych, ciemnych włosach, ubrana w czerwoną sukienkę ze złotymi guzikami, odłączyła się od grona pań stojących w pobliżu. Jednocześnie inni goście podchodzili do Fiony, żegnając się z nią, tak że tamtego mężczyznę wychodzącego z żoną z przyjęcia ledwie dostrzegła wśród morza twarzy i sylwetek.

Jego żona była młodsza od Helen, żony Raymonda, o dziesięć lub piętnaście lat, szczuplejsza; miała natomiast taki sam kolor włosów. Fiona skoncentrowała się do tego stopnia na tych włosach, że w pewnej chwili ujrzała Raymonda i Helen, wychodzących przez oszklone drzwi, w późny, lecz ciągle jeszcze jasny, letni wieczór. Przypuszczała, że to tylko jej wyobraźnia, bo pomyślała, że nie są szczęśliwym małżeństwem — nie szli blisko, trzymali się od siebie w znacznej odległości, takiej jednak, że - zdołali przejść razem przez podwójne drzwi prowadzące na ulicę. Wydawało się jej, że przestrzeń pomiędzy nimi była na tyle duża, że jeszcze jedna osoba mogłaby zmieścić się w środku.

Raymonda zaproszono do wręczenia kilku nagród na zorganizowanej w tym celu uroczystości, na której Fiona widziała go po raz pierwszy. Jego nazwisko знаła już wcześniej z plotek — był znany zarówno w środowisku, jak i w środkach masowego przekazu, mimo to niewiele wiedziano o jego życiu prywatnym.

— Kręci się tu od lat, a właściwie nikt go nie zna — przypomniała sobie słowa kuratora — może najwyżej jego żona albo kochanka, jeśli ją w ogóle ma, chociaż zupełnie nie wiem, jak znalazłby na nią czas.

Gdy pojawił się na scenie i na monitorach wideo, poczuła coś w rodzaju miłości. Wyraz jego twarzy był jednym z tych, które przybiera się dla okazania nieustępliwości, chociaż z odległości kilku rzędów wydawało się jej, że widzi cień słabości w kącikach jego ust, w lekkim opadaniu lewego oka. Dostrzegła w nim kogoś, kto ukrywał część swojej natury, miał w sobie coś więcej niż to, co pokazywał swoim pracownikom i dziennikarzom. Dlatego chciała go poznać, by móc zapewnić mu bezpieczeństwo. Sposób, w jaki to odczuła tak nagle i głęboko, nie przypominał niczego, co dotychczas przeżywała.

Dwa tygodnie po tym, jak zostali sobie przedstawieni podczas bankietu, który rozpoczął się zaraz po jego przemówieniu, przyjechał do jej miasta, by ją odwiedzić. Wtedy właśnie powiedział:

— To stało się prawie momentalnie, wtedy gdy się poznaliśmy. Nie mogę tego wytłumaczyć. Zupełnie nie mogłem opanować drżenia.

Nie powiedziała mu ani słowa o swoim pierwszym wrażeniu, o tym, jak z trudem mogła złapać oddech, gdy tylko skończył swoje wystąpienie, wpatrując się w tył jego głowy i ramiona jego smokingu, czekając, aż zabiorą aparaty fotograficzne ustawione, by sfotografować go uśmiechniętego, siedzącego w pierwszym rzędzie, aż zamilkną pełne uznania owacje. Nie powiedziała mu, że wszystko to zaczęło się, zanim jeszcze on dowiedział się o jej istnieniu.

Rok później, gdy prosiła, by porzucił dla niej żonę, w jego oczach pojawiły się łzy, a po trzech miesiącach odszedł. Gdy między nimi wszystko się skończyło, przypomniała sobie o czymś, co powiedział jej pewien mężczyzna pięć czy może sześć lat temu. Brian był projektantem, mieszkał w pięknym białym domu, zdobionym chromowanymi elementami; jego żona była lekomanką i jej życie toczyło się wokół szpitalnego oddziału psychiatrycznego. Miał kochankę w innym mieście, która czasami przyjeżdżała do niego z kilkutygodniową wizytą. Fiona przez lata nie myślała o Brianie, ale ostatnio mówiło się o nim na przyjęciu i z rozmowy dowiedziała się, że Brian jest nadal żonaty. Nie wspomniano o żadnej kochance. Dziś przypomniała sobie tamten fragment rozmowy, prowadzonej w eleganckiej chińskiej restauracji, której ozdobą były marmurowa podłoga i czerwone gobeliny rozwieszane na ścianach.

— Każdy może zostać złamany przez miłość — powiedział Brian.

Czy była to prawda? Musiał zauważyć powątpiewanie na jej twarzy, ponieważ dodał pośpiesznie:

— Oczywiście prawdziwą. To musi być prawdziwe uczucie.

Czy kochała Raymonda prawdziwą miłością? Czy popełniła jakiś błąd, czy może czegoś w niej zabrakło? Czy gdyby kochała go bez cienia egoizmu, czystą i

prawdziwą miłością, mimo to powróciłby do Helen, która miała pól długie, sięgające brody, lśniące włosy i nosiła kostiumy od Holta Renfrew?

Fiona wiedziała, że żonaci mężczyźni niezwykle rzadko odchodzą od swoich żon — szczególnie ci, których kariera mogłaby z tego powodu ucierpieć, jeżeli rozdarcie, uraza opanowałyby i rozproszyły się po ich życiu osobistym i towarzyskim, docierając także do zawodowego, jeżeli nie pozostałoby miejsce na schronienie się przed goryczą. Fiona, w czasie świąt Bożego Narodzenia, wysłuchiwała skarg przyjaciółek, których kochankowie siedzieli przy kominkach w swoich domach, pijąc brandy w towarzystwie swych żon lub schodząc na palcach po schodach, by włożyć upominki w skarpety przygotowane przez dzieci. Nawet gdy wydawała z siebie, stosowne do sytuacji, dźwięki wyrażające współczucie, w skrytości dziwiła się, jak mogły okazać się na tyle głupie, by dopuścić do związania się z kimś, kto od samego początku był niedostępny. Było w ich smutku coś z masochizmu, a w ich samotności coś odpychającego. Teraz jednak wcale nie była taka pewna, czy to, przez co przechodziły, było wyłącznie wynikiem ich błędów. Uważała, że przyczyny ich cierpienia mogły mieć swoje źródło w czymś, co istniało poza nimi, co wykraczało poza margines ich osobowości, tak jak miłość wykracza poza granice ciał i umysłów ludzi, którzy są nią owładnięci.

Gdyby okazało się, że Fiona nie jest warta Raymonda i że jakaś inna kobieta mogłaby kochać go w taki sposób, że on porzuciłby swoje małżeństwo dla tej miłości, jaka byłaby ta kobieta, warta tego kroku ?

W ciągu kolejnych miesięcy po tym, jak ją zostawił, zaczęła grać w pewną grę na przyjęciach i spotkaniach, w sklepach i centrach handlowych, pomiędzy przeczytaniem dwóch kolejnych stron czasopisma, gdy w telewizji nadawano reklamy. Zabawa polegała na znalezieniu takiej kobiety, która byłaby w stanie doprowadzić do tego, by Raymond odszedł od żony. Zwykle była to osoba o dobrej prezencji, modelka albo aktorka, kobieta o bujnych włosach i w skąpym stroju. Czasem jakaś ładna nastolatka o jasnej cerze i natchnionym spojrzeniu, która sprawiała wrażenie, że umarłaby, gdyby została porzucona. Innym razem była to wykształcona czterdziesto- lub pięćdziesięcioletnia kobieta o siwiejących włosach, w których rozsypywały się rozjaśnione pasemka, inteligentnym spojrzeniu,

z chłodnym, wystudiowanym uśmiechem na twarzy. W ten sposób Fiona w całym mieście znajdowała nowe żony dla Raymonda — kobiety o cechach, których, jak sądziła, sama nie posiadała i które mogły stać się przyczyną jego rozwodu. Zdarzało się, że dopiero po chwili zdawała sobie sprawę, że przygląda się kobietom na śródmiejskiej ulicy w godzinach lunchu, na tarasach wytwornych restauracji, w sklepach z bielizną czy modnych butikach; że obserwuje je z obojętnym wyrazem twarzy, gdy tymczasem oczy jej stawały się coraz bardziej uważne i rozgorączkowane, jakby była mężczyzną, który próbuje zbliżyć się do nieznajomej kobiety, kobiety, która mogłaby zagrać główną rolę w jego mrocznej, seksualnej fantazji.

Fiona słyszała o kobietach, które pozwoliły na to, by ich życie zostało zrujnowane przez mężczyzn. Szczyciła się tym, że była zbyt rozsądna i samolubna, by w jej przypadku mogło kiedykolwiek do tego dojść; jednak w ciągu kilku miesięcy po odejściu Raymonda jej osobowość rozpadła się na kawałki, jakby ktoś przeciął w niej kilka ściągów i wyciągnięta końcówka nici zaczepiła się o jego ciało, więc gdy odchodził, pociągnął ją za sobą i całość zaczęła się rozpruwać.

Pewnego dnia, robiąc zakupy, zobaczyła na półce parę sportowych butów, białych z granatowymi podeszwami; była to damska wersja butów, które widziała na jego nogach, gdy wracał z ćwiczeń; kupiła je bez przymierzania i schowała na dnie szafy.

Innego znów dnia poszła do sklepu z antykami i kupiła pierścionek, na który tak naprawdę nie mogła sobie pozwolić; korpulentna ekspedientka powiedziała jej, że był to czyjś pierścionek zaręczynowy, po czym wyjęła prostokątne lustro i trzymała je w dłoniach, by Fiona mogła zobaczyć połyskujący pierścionek na swoim palcu. Chciała poznać całą historię, kryjącą się za świetlistymi refleksami diamentu osadzonego w wąskiej, złotej obrączce; historię osoby, która przyniosła go do sklepu, ale ekspedientka nie mogła nic na ten temat powiedzieć.

— Nie lubię zadawać ludziom takich pytań, pani rozumie — powiedziała.

Fiona rozumiała.

— Czasy były trudne — zauważyła, stukając kartą kredytową o kontuar.

Odczuwała wielką potrzebę wydawania pieniędzy, kupowała całe zestawy odzieży, krótkie sukienki i eleganckie jasne kostiumy, których Raymond nigdy nie będzie oglądał, ale które z pewnością by mu się podobały. Wkładała te swoje nowe ubrania na przyjęcia czy bankiety i oczekiwała komplementów, dla potwierdzenia, że może być na tyle atrakcyjna, by ktoś mógł dla niej zostawić żonę. Szukała ogromnego, wyczerpującego wysiłku fizycznego, angażowała się towarzysko po to, by wieczorem położyć się do łóżka, owinać kołdrą i natychmiast zapaść w sen, by obudzić się dopiero następnego rana. Mimo zmęczenia budziła się jednak często w środku nocy i leżała, zastanawiając się, czy on jest teraz w łóżku ze swoją żoną, czy obudził się i odwrócił w stronę jej ciała, zwiniętego przy jego boku, czy pieścił ją, czy wsunął się w nią, gdy była jeszcze częściowo pogrążona we śnie, czy sprawiło jej to przyjemność, czy ona dociskała miękko biodra do jego brzucha w intymnej bliskości i oddaniu. Oczy Fiony płonęły w mroku, kręciła się niespokojnie, zastanawiając się nad tym wszystkim.

Pewnego razu o mało nie przespała się z włoskim przedsiębiorcą, którego poznała na przyjęciu; poszli razem do jego hotelu, zamówił butelkę wysokogatunkowego włoskiego wina; z jedną ręką, wyciągniętą na oparciu kanapy, odegrał całe przedstawienie, sącząc je z kieliszka. Gdy odwrócił się od niej, skóra naprężyła się na jego policzku. W sypialni powiedział, że zachwyca go jej ciało, wsu-



nał w nią zbyt dużo palców; ostatecznie nie doszło do zbliżenia, ponieważ w trakcie poprzedzających je pieszczot zadzwonił z dołu jego prawnik i przypomniał mu o ważnym spotkaniu, na które już był spóźniony. Nigdy nie powrócili do tego, co zdarzyło się tamtego wieczoru, okazało się, że nie byli sobą na tyle zainteresowani, by nawiązać bliższy kontakt: poza tym kilka dni później wyjechał do Włoch, wrócił do swojej dziesięcioletniej córki i czwartej żony, z którą nie chciał sypiać, ponieważ popadła w depresję i anoreksję.

Fiona wiedziała, że znalazła się na dnie, gdy kiedyś, w czasie lunchu, zorientowała się, że stoi cała we łzach spływających jej po policzkach przed oknem wystawowym sklepu Laury Ashley i wpatruje się w koronkową kremową suknię ślubną.

Następnego wieczoru poszła do baru na drinka z Frankiem, znajomym z college'u, który właśnie pomógł wyprowadzić się dziewczynie ze swego mieszkania. Zamówili piwo i jedli prażone migdały ze stojącej na stole miseczki. Przy dźwiękach muzyki opowiedziała Frankowi o swoim romansie, nie wymieniając jednak imienia Raymonda. Pogratulował jej zachowania godności.

— Ludzie tracą głowę w takich sprawach — powiedział. — Mężczyźni idą do domów i strzelają do swoich żon i dzieci, kobiety upijają się w towarzystwie i wprawiają w zakłopotanie innych. Nie dzwoniłaś chyba do niego? Chyba nie próbowałaś też dzwonić do jego żony?

— Nie — odpowiedziała —nie dzwoniłam.

Nie dzwoniła do Raymonda i zostawiła w spokoju Helen. Dla pewności, gdy wracała wieczorem do domu, starała się być zawsze na tyle zmęczona, by nie móc zrobić nic poza zmyciem makijażu i położeniem się do łóżka. W przeciwnym razie mogłaby nie powstrzymać się, by sięgnąć do barku po whisky, a potem do telefonu, który zawsze czekał w pogotowiu.

— To doskonale, postępujesz bardzo dobrze.

— Może stałam się jedną z takich kobiet, z którymi mężczyźni mogą mieć romans, nie obawiając się żadnych konsekwencji — powiedziała.

Była już trochę wstawiona, czuła się lżejsza, granice dyskrecji częściowo zniknęły.

Frank roześmiał się.

— Och, szczerze w to wątpię. Co byś naprawdę zrobiła, gdyby on odszedł od żony, zjawił się u twoich drzwi i chciał się do ciebie wprowadzić?

Fiona zastanowiła się nad tym przez chwilę, mimo że doskonale знаła odpowiedź na to pytanie.

— Starałabym się, żeby wszystko dobrze się ułożyło — odpowiedziała.

Tego wieczoru Fiona wracała do domu pieszo. Niebo wyglądało tak, jakby za chwilę miał zacząć padać śnieg; chmury były ciężkie i pełne jak wypchana pierzem kołdra. Powietrze ostre, szczypiące w płucach, metalicznie połyskujące chodniki w nocnym oświetleniu ulicy. Wkrótce będzie Boże Narodzenie, potem kolejny rok. Dekoracja wystawy sklepu Laury Ashley oczywiście zmieniła się — teraz bezgłowy manekin miał na sobie sztruksową spódnicę i ciemną aksamitną bluzkę z koronkowym kołnierzykiem. Sukni ślubnej już nie było. Kimkolwiek była kobieta, która weszła do sklepu, przymierzyła ją i za nią zapłaciła, do tej pory z pewnością znalazła już dla siebie miejsce w nowym życiu.

---

## 8.

Gdy spotkałam cię po raz pierwszy, wydawało mi się, że twoje oczy są niebieskie. W sali było pełno ludzi, a na zewnątrz bębnił ulewny deszcz, donośny jak odgłosy wojennej wrzawy, niemal tak głośny jak gwar bankietu. Wśród gości były kobiety w błyszczących sukniach, mężczyźni w smokingach; kamienną podłogę pokrywały plamy rozlanego wina i warstwa popiołu z papierosów. Ty także tam byłeś, stałeś z tą swoją charakterystyczną powagą w oczach, twoje usta były zaledwie o jeden ruch od moich; nagle poczułam, jak coś się we mnie porusza.

Czy to możliwe, by przeżywać moment własnego poczęcia dwadzieścia cztery lata po urodzeniu? Wydawało mi się, że właśnie tak powinno być, że powinienes mieć niebieskie oczy jak księżę z bajki.

Nie miało to dla mnie znaczenia, że w rzeczywistości twoje oczy były szare, czy też że byłeś żonaty. Gdy tylko na ciebie spojrzałam, poczułam coś, czego nie mogłam już odwrócić ani zignorować — zauroczenie i zarazem niezachwianą pewność, jakiej nigdy przedtem nie miałam. W moich oczach jak w zwierciadle odbijały się: przenikliwość twego spojrzenia, ożywiona gestykulacja, twój przelotny, ledwie dostrzegalny uśmiech, który dawał do zrozumienia, że choć na pozór jesteś człowiekiem otwartym, to jednak czujnie strzeżesz dostępu do siebie; i jeszcze coś — cień obawy czy słabości, ślady dawnych przeżyć, które od tamtej pory nadawały kształt całej twojej egzystencji.

Było wietrzne wiosenne popołudnie, dwa dni po tym, jak się poznaliśmy, w powietrzu było aż gęsto od pyłków wiosennych kwiatów i drzew. Światła nad skrzyżowaniami ulic huśtały się ciężko, a przechodnie brnęli po chodnikach, niby pokonując jakiś niewidzialny opór; kołnierze i poły płaszczy łopotały wokół ich sylwetek. Jediną barwną plamą były ustawione przy skrzyżowaniach skrzynki z gazetami, żółte i czerwone, jak wnętrza barów szybkiej obsługi.

Byłeś w połowie drogi, przechodząc przez obrotowe drzwi wejściowe do hotelu, gdy opuściłam szybę w oknie taksówki i cię zawołałam. Odwróciłeś się, jakby czymś przestraszony, i spojrzałeś na mnie tak, jak patrzy się na wroga. Gdy zorientowałeś się, kto cię woła, nieco się rozluźniłeś, jednak nie do końca, nie mogłeś przecież jeszcze mieć pewności, że ja nie byłam wrogiem. Przywołując mnie ruchem ręki, dalej przechodziłeś przez obracające się przeszkłone drzwi, nie mogąc się ani zatrzymać, ani odwrócić.

Wtedy jeszcze nie wiedziałam, że zawsze już będę cię widywała jak tamtego dnia — w pułapce drzwi, niby obrazek w książce, który już na zawsze musi w niej pozostać; kręcące się drzwi, ty bezradnie obracający się wraz z nimi, spoglądający do tyłu, na mnie. Zapłaciłam za taksówkę i wysiadłam. Moje nogi drżały, gdy niosły mnie w twoją stronę.

W hotelowym barze podeszła do nas kelnerka, by nalać białego chablis do mojego kieliszka; ty zamówiłeś butelkę piwa, które piłeś powoli, z namysłem. Siedzieliśmy przy oknie, na zewnątrz dogasał dzień. Szkło butelki miało zielony odcień koniczyny; odbijało dogasające promienie dziennego światła zamknięte pomiędzy ścianami śródmiejskich budynków, a ich zielony cień padał na obrus, którym nakryty był nasz stół.

— Ciągłe się zmieniam, każdego dnia — mówiłeś — nic w moim życiu nie jest takie samo przez dłuższy czas.

Wiedziałam wtedy, że jakkolwiek będzie nasz związek, w końcu i tak cię stracę. Każde nasze wspólne doświadczenie będzie tylko znakiem na drodze do tej straty. Dlatego niemal fizyczny ból, ostre klucie w piersiach sprawiły, że milczałam. Jeszcze cię wcale nie znałam, jak więc mogłam już się pograżać w żałobie po twojej stracie? Przy stoliku za nami kobieta w różowym kostiumie Chanel roześmiała się ochryple i natarczywie, oboje spojrzeliśmy na nią. Miała sztywne czarne włosy, jej torebka wisiała na złotym łańcuszku, który spełniał rolę paska. Gdy odwróciłeś się znowu w moją stronę, powtórzyłeś, jak gdybym nie dosłyszała wcześniej tego, co powiedziałeś, jakbyś chciał mnie ostrzec:

— Każdego dnia.

Gdy skończyliśmy nasze drinki, odwiozłeś mnie do hotelu, w którym się zatrzymałeś. Twój samochód był elegancki, czarny jak para przeciwsłonecznych okularów; cicho przesuwiał się w nocnym mroku. Czubkami palców lekko dotykałeś kierownicy. Wyglądałam przez okno samochodu, obawiając się spojrzeć na ciebie z tak bliskiej odległości, obawiając się zdradzić jakąś tajemnicę. Gdy zatrzymaliśmy się na pierwszym skrzyżowaniu, spojrzaleś na mnie.

— To nie jest w twoim stylu — powiedziałeś niespodziewanie.

— Co takiego?

— To nie w twoim stylu. Tamten sklep.

Wskazałeś ręką na sklep po przeciwnej stronie ulicy, którego wystawę oświetlały ustawione w rzędzie lampy. Była na niej tylko jedna jedyna rzecz,

długa pomarańczowa suknia, która wisiała na bezgłowym manekinie, stelażu, zrobionym z metalowych rurek wygiętych na kształt ludzkiego ciała. Obok stał wazon z terakoty, miał co najmniej metr dwadzieścia wysokości. Wcale nie patrzyłam na tę suknię, myślałam tylko o tym, że jesteś tak blisko.

— Nie patrzyłam na ten sklep.

— Och! — Przez chwilę nie odzywałeś się. — Myślałem, że właśnie jemu się przyglądasz.

Pojechaliśmy dalej. Obciągnęłam brzeg czarnej minispódniczki. Byłam tak bardzo pod wrażeniem twojej obecności, że czułam się, jakbym nagle znalazła się w obszarze superświadomości, która czasem ogarnia człowieka w chwilach bezsenności czy w początkowym stadium upojenia alkoholowego. Przejeżdżaliśmy obok parku, mieszkańcy okolicznych domów wylegli na ławki, potem wzdłuż ogrodzenia, którego elementy połączono ogniwoami łańcucha. Drzewa rosły tam rzadko i były ciemne jak papierowe wycinanki. Jechaliśmy główną ulicą, gdzie światła kawiarni i restauracji ciągle jeszcze się paliły. Nie rozmawialiśmy, aż do chwili, gdy zatrzymaliśmy się przed wejściem do hotelu. Patrzyłeś prosto przed siebie, pukając palcami o kierownicę.

— Za jakieś dwa tygodnie znów przyjadę; mam tu kilka spraw do załatwienia. Jeśli masz chęć spotkać się ze mną, zadzwoń.

— Oczywiście — odpowiedziałam i uświadomiłam sobie, że wstrzymuję oddech.

Najpierw zaczęłam manipulować przy zamku, który wcisnąłeś ze swojej strony, potem przy pasach. Obserwowałeś tylko, nie wykonując najmniejszego ruchu, by mi pomóc, a potem, na pożegnanie, dotknąłeś dwoma palcami mojego policzka. To, co poczułam, było tak dojmujące, że aż uchyliłam się gwałtownie w bok. Nie zdążyłam jeszcze dojść do chodnika, gdy skręciłeś kierownicę, twój samochód wyjechał na ulicę i włączył się w strumień czerwonych świateł.

Siedzieliśmy razem na tylnym siedzeniu taksówki, która wiozła nas w stronę wybranej przeze mnie restauracji. Błękit oceanu odbijał się w twoich przeciwst-

necznych okularach; był to wilgotny, ciężki i duszny dzień, zmieniający się w nieco łagodniejszy wieczór.

Dekoracja ścian restauracji robiła wrażenie, z sufitu zwisały szklane sople, podobnie nad oknami i barem — sprawiało to wrażenie padającego deszczu. Z kolacji, za którą stanowczo chciałam zapłacić, nie spróbowałam prawie nic. Tak działała na mnie twoja obecność. Mogłabym przysiąc, że masz niebieskie oczy — może był to efekt oświetlenia odbijającego się w wykładzinie podłogi. Może złudzenie wywołane sporą ilością wypitego wina.

Po kolacji poszliśmy do twojego hotelu. Przygotowałeś dla nas drinki i zgasiłeś światło w pokoju. Przez wysokie okna widać było niewyraźną już panoramę miasta; zawsze było moim domem, inspiracją dla mojej sztuki, a tamtej nocy wydawało się miejscem, w którym absolutnie wszystko mogło się zdarzyć. Siedzieliśmy tak przez wiele godzin — ty na podłodze z głową wspartą na siedzeniu krzesła, ja na krześle przy biurku, na którym rozrzuciłeś trochę drobnych pieniędzy, portfelik na banknoty i prawo jazdy.

O czwartej rano znaleźliśmy się w łóżku. Pocałowałeś mnie w czoło i nakryłeś kołdrą nasze ubrane ciała. Ujęłam twoją twarz w dłonie, przesuwałam koniuszkiem palca po liniach, które tworzyły się wokół twoich ust i oczu. Powieki miałeś delikatne jak membrana. Odgarnąłeś moje włosy i pocałowałeś w szyję, położyłeś delikatnie dłoń na moich plecach. Nigdy przedtem nie czułam się tak bezpiecznie jak wtedy, gdy ułożyłam swoją nogę między twoimi i wtuliłam twarz w zagłębienie twego ramienia. Twoja skóra była w tym miejscu ciepła, pod nią żywo pulsowała krew. a jej zapach nie przypominał żadnego z tych, które znałam dotychczas. Pachniałeś jak połyskująca w świetle zieleń — liście, woda w promieniach słońca. Pomyślałam, że tego zapachu i ciepła twego ciała nie zapomnę tak długo, jak będę żyła.

Obudziliśmy się równocześnie, gdy światło dnia zaczęło wlewać się do pokoju, a z korytarza docierały odgłosy krzątających się pokojówek. W łazience spojrzałam w lustro — byłam blada, moja lniana sukienka strasznie wygnieciona, tusz wokół oczu rozmazany i zaschnięty. Przez noc fiszbiny stanika wbiły się tuż poniżej piersi, pozostawiając złowrogie czerwone ślady. Przepęłniło mnie uczu-



cie radości; domyślałam się, że możesz mnie jeszcze pocałować, nie zadałam więc sobie nawet trudu, by pomalować usta.

W pokoju składałeś swoje ubranie i papiery, puste torby z pralni wrzuciłeś do kosza na śmieci, dotykałeś kieszeni, sprawdzając, czy masz w nich wszystkie swoje drobiazgi. Kiedy mnie zobaczyłeś, usiadłeś na łóżku i w milczeniu patrzyłeś prosto na mnie.

Gdy podchodziliśmy do drzwi, niespodziewanie zbliżyłeś się do mnie, odsunąłeś włosy z moich skroni, przygarnąłeś moją twarz do swojej. Światło dochodzące z okna stało się nagle oślepiające, rozlewało się po dywanie, przesuwał w naszą stronę jak strumień podpalonej benzyny; zamknęłam oczy. Całowałeś mnie długo i tak mocno, że gdy już przestałeś, czułam, że bolą mnie wargi.

— Do zobaczenia wkrótce — powiedziałeś.

Kilka tygodni później pojechałam na wystawę do innego miasta. Upewniłeś się, czy także tam będziesz, i wyznaczyłeś terminy dodatkowych spotkań tak, byśmy mogli spędzić jeden wspólny wieczór w twoim pokoju hotelowym.

Gdy przyszłam, czułam się nieswojo; nie wiedziałam, co sądzić o naszym ostatnim spotkaniu. Ty natomiast byłeś ożywiony, zachowywałeś się tak, jakby nic się nie wydarzyło — gdy rozmawialiśmy, dotykałeś to mego nadgarstka, to policzka, zdjąłeś buty i bosy położyłeś się przy mnie na kanapie. Nagle zapytałeś, czy poznałam kogoś — mężczyznę.

— Żartujesz chyba? Od czasu, gdy ostatnio rozmawialiśmy? Oczywiście, że nie!

— Och, spotkasz jeszcze tę właściwą osobę, od razu będziesz wiedziała, że to ten. Tego z niczym nie można pomylić.

Chciałam powiedzieć, że spotkałam ciebie, ale tego nie zrobiłam. Chociaż nie było jeszcze późno, raz po raz spoglądałeś na zegarek i wreszcie powiedziałeś, że umówiłeś się na spotkanie na jutro na szóstą rano, jeszcze przed odlotem samolotu.

— Przepraszam cię, ale muszę być w dobrej formie, więc potrzebuję przynajmniej kilku godzin snu.

Przy pożegnaniu uścisnęliśmy się serdecznie jak para przyjaciół. a potem mnie pocałowałeś. Twoje usta były chłodne i słodkie od likieru, który piliśmy przed chwilą. Rozpiąłeś koszulę i przytuliłeś moją twarz do swojej piersi, w miejscu, gdzie biło twoje serce. Wsłuchiwałam się w jego odgłos z takim napięciem, jakby ważyły się losy życia lub śmierci, z niepokojem, z jakim słucha się krótkich dźwięków wydawanych przez szpitalny elektroniczny aparat do monitorowania życia. Wsunąłeś ręce pod mój sweter i położyłeś obie dłonie na moich piersiach, dotykając ich przez bluzkę. Po chwili wyjąłeś je.

— No, idź już — powiedziałeś.

Gdy sięgnęłam ręką do klamki, ukląkłeś nagle na jedno kolano i oplotłeś ręce wokół moich nóg.

— Nie, nie odchodź — powiedziałeś łamiącym się głosem.

Spojrzałam na ciebie i odniosłam wrażenie, że drwisz z siebie

i ze mnie. Stałam tak ze zwisającą przy boku torbą, nie wiedząc, co robić.

Wstałeś i pocałowałeś mnie znowu, delikatnie; całowałeś mnie, aż zmieniło się tempo naszych oddechów.

— Proszę, idź — szepnąłeś tuż przy moich ustach, z głębi serca i ze smutkiem; w jednej chwili uwolniłam się z twoich objęć. Obiecałam sobie kiedyś, że nigdy cię nie zranię; to wydawało się najbliższe poświęceniu, jakie byłam gotowa dla ciebie ponieść. Wyszłam na korytarz, a ty zamknąłeś za mną drzwi na klucz. W panującej dokoła całkowitej ciszy słychać było jedynie odgłos zamka, który precyzyjnie wsunął się na swoje miejsce. Czy zaraz potem poszedłeś do łazienki, czy stałeś przed lustrem, przyglądając się badawczo swemu odbiciu, czy też stałeś przy oknie, obserwując rząd taksówek przesuwających się ulicą, patrząc na dżunglę drapaczy chmur, w środku której się znajdowałeś? Czy może ciągle jeszcze tkwiłeś po drugiej stronie drzwi, ze wstrzymanym oddechem, z nadzieją, że wrócę, wykonam jakiś ruch? Ale być może taka rola przeznaczona jest dla kobie-

ty — czekać, okazywać cierpliwość, mieć nadzieję na odmianę uczuć, wsłuchiwać się w odgłos kroków kochanka na schodach. Prawdopodobnie jednak poszedłeś prosto do łóżka i z westchnieniem usnąłeś.

Ja tymczasem długo stałam w korytarzu. Dywan na podłodze był gruby, ciemny, ozdobiony wzorem w formie różnych kwiatów. W połowie korytarza stał niski marmurowy stolik, na nim wazon z kwiatami. Gdy doszłam do windy, w jej srebrzystych drzwiach zobaczyłam odbicie swojej własnej twarzy, moje ciemne włosy były w nieładzie. Przygryzłam wargę. Byłam poruszona i zachwycona, jak młodzieniec żegnający się z dziewczyną na schodach jej domu po pierwszym niezdnym, lecz radosnym pocałunku.

Przed hotelem wsiadłam do pierwszej ze stojących tam taksówek. Mój hotel był niedaleko. Kierowca mozolnie przeciskał się pomiędzy rzędami samochodów, zanim skręcił w boczną ulicę, a potem w główną aleję. Zbliżając się do przecznicy, na której znajdował się mój hotel, przejechaliśmy przez skrzyżowanie, gdzie zauważyłam mężczyznę stojącego przy krawężniku; jego twarz, w świetle jedynej palącej się w tej okolicy lampy ulicznej, wydawała się pogrążona w smutku. Spojrzał w okno taksówki i nasze oczy się spotkały. Jakaś siła przyciągała go do mnie, jak często przytrafia się to ludziom, którzy znają swoje przeznaczenie. Mężczyzna ze skrzyżowania, podążając za taksówką, dotarł aż do hotelu. Udałam się do swego pokoju, a po chwili wyszłam, by przynieść trochę lodu z automatu. Mężczyzna czekał na korytarzu, tuż obok drzwi do windy, oparty o ścianę, od której miejscami odstawała odklejona tapeta; palił papierosa. Ubrany był w kurtkę z kapturem; miał brodę; na białkach jego oczu wyraźnie widoczne były czerwone żyłki.

— Proszę — zwrócił się do mnie — nie znamy się, ale ja muszę z panią porozmawiać. Proszę pozwolić zaprosić się na drinka na dół, do baru.

Spojrzałam na niego spokojnie; wiedziałam, że tego wieczoru niczego nie muszę się obawiać.

— Dziękuję, ale nie skorzystam. Dobranoc.

— Muszę z panią porozmawiać — powtórzył.

Jego źrenice były tak małe jak ślad po ukłuciu szpilki. Szłam dalej wzdłuż korytarza, kołysząc wiaderkiem, z pełną świadomością, że moje kroki były lekkie dzięki pewności siebie cechującej kobietę głęboko tkwiącą w swoim własnym świecie, kobietę, która wie, że żadne zewnętrzne sprawy nie są w stanie jej dotknąć.

— Przepraszam — powiedziałam, odwracając się w końcu w jego stronę. — Już dziś wypiałam drinka. — Przerwałam i uśmiechnęłam się. — Z kimś innym. Spotykam się z kimś. Z mężczyzną.

Słowa te w moich ustach zabrzmiały niezręcznie i zaskakująco.

— Och — powiedział nieznajomy, gasząc niedopałek papierosa w cuchnącej popielniczce. Wydawało się, że zrozumiał. Musiał to być jakiś dziwny zbieg okoliczności, że tak od razu odwrócił się, bez wahania przywołał windę i odszedł.

Ciągle powracałeś do mojego miasta, umawiając się tu na spotkania i biorąc udział w konferencjach. Za każdym razem, gdy się spotykaliśmy, całe godziny spędzaliśmy na rozmowach, czy to w twoim hotelu, czy w moim mieszkaniu. Odkryłam, że nie byłeś doskonałością — miałeś skłonności do narcyzmu, szybko wpadałeś w gniew, czasem bywałeś nieuczciwy. Twoje życie zawodowe nauczyło cię nie ufać nikomu i czułam, że w naszym ewentualnym przyszłym związku, jakkolwiek by on był, zawsze będą sprawy, które będziesz utrzymywał w tajemnicy, będziesz miał różne sposoby ukrywania się przede mną, skłonność do zachowywania dystansu między nami. Mimo wszystko stwierdziliśmy, że znacznie więcej nas łączy, niż dzieli. Czasem opowiadaliśmy sobie o zdarzeniach w naszym życiu, rozmawialiśmy o sprawach z dzieciństwa, o których, jak się okazało, nikomu przedtem nie wspominaliśmy. Odkryłam, że podstawą twego talentu był niepokój, bystry, choć skłonny do podejrzeń umysł, typowa dla kobiet zdolność do gwałtownego przeżywania emocji. Nabrałam przekonania, że nawet jeśli ból czy konflikt, oszustwo czy ostateczna zdrada mogłyby przydarzyć się w naszym związku, i tak będzie ich wart.

Wychodziliśmy rzadko i ku mojemu zdumieniu byłam nawet z tego zadowolona. Nie chciałam dzielić się tobą ze światem. Coraz częściej, gdy cię przy mnie

nie było, zauważałam, że nie czuję się pełna życia. Praca, która dotychczas była dla mnie najważniejszym elementem mojej egzystencji, teraz przestała mnie pochłaniać bez reszty. Zdarzało mi się siedzieć, w środku dnia, w mojej pracowni i nie móc skupić się na obrazach, które znajdowały się tuż przede mną, ponieważ moje myśli były pochłonięte tobą. Kiedyś powiedziałeś, że podziwiasz we mnie zdolność koncentrowania się nad pracą i, choć nasze zawody całkowicie różniły się od siebie, podobno przypomiinałam ci twoje najlepsze lata na początku kariery. Czułam teraz, że tracę tę zdolność koncentracji — czy raczej, że jej centralnym punktem stałeś się ty zamiast mojej pracy.

Nadal nie sypialiśmy ze sobą, nigdy też nie spędziliśmy razem całej nocy.

Gdy pewnego wieczoru znowu przyjechałeś do mojego miasta, poszłam spotkać się z tobą w hotelu, w którym zwykle mieszkałeś. Podeszedłeś do drzwi bez butów, miałeś na sobie znoszony firmowy podkoszulek i dżinsy, które przed chwilą pospiesznie naciągnąłeś na siebie. Nalałeś nam drinki, potem dolewałeś je jeszcze kilkakrotnie. Kilka razy zauważyłam, jak z tęsknotą rysującą się na twarzy spoglądasz na nagą część mego uda, w miejscu, gdzie spódnica odsłaniała górny brzeg pończochy. O drugiej nad ranem zapadło między nami milczenie. Nabrałam głęboko powietrza w płuca i podniosłam się z krzesła. Stopy miałeś wsparte na stoliku, uklękłam i dotknęłam twojej kostki u nogi; moje palce drżały. Gdy uniosłam wzrok, zauważyłam, że patrzyłeś na mnie z powagą i bólem.

— Chodź tutaj — powiedziałeś.

Całowaliśmy się, a twoje dłonie przesuwaly się po rękawach mojej bluzki. Z trudem mogłam zapanować nad tym, co czułam — ulgą, podnieceniem i czymś, co miało przedsmak cierpienia. Właśnie z cieniem żalu rozpięłam twoje dżinsy. Pod spodem byłeś zupełnie nagi. Wzięłam cię w usta. Nigdy przedtem nie chciałam tego robić z nikim, chyba że zmuszono mnie siłą. Teraz czułam, że zrobiłam krok do przodu w kierunku czegoś, co mogło być równie dobrze początkiem jak i końcem. Wiedziałam też, który z nich najprawdopodobniej nastąpi. Nagle poczułam, że chce mi się płakać, ale już dotykałeś mojego ramienia, odsuwając się ode mnie.

— Nie — powiedziałeś — nie możemy tego zrobić.

Wstałeś, potykając się lekko, i przyniosłeś z barku dwie butelki wody. Światło księżycy wlewało się przez okno jak zwiastun upokorzenia.

— Późno już — powiedziałeś, potrząsając głową. — Musisz iść. Porozmawiamy o tym jutro, zgoda? Mam godzinę, może dwie pomiędzy popołudniowymi spotkaniami.

— Dobrze — powiedziałam. Ku mojemu zdumieniu, łza popłynęła mi po policzku, ale zdążyłam obetrzeć ją zewnętrzną stroną dłoni, zanim zdołałeś ją zauważyć. Moje usta były ciągle przepełnione twoim ciepłem, a ponieważ zostały od ciebie oderwane, czułam, jakby jakaś część mnie samej została nagle odłączona od całości.

— Nie powinnaś pozwolić mi na to, bym cię zranił — powiedziałeś.

— Nie możesz długo tu zostać — powiedziałeś, gdy następnego dnia po południu zjawiłam się u ciebie. — Chcesz się czegoś napić?

— Jeśli napijesz się ze mną.

Nie miałam dość siły, by na ciebie spojrzeć. W świetle dnia mahoniowe powierzchnie w pokoju nabrały połysku, a ich krawędzie były wyraźnie zarysowane. Twoje garnitury wisiały w otwartej garderobie, a notebook stał otwarty na biurku. W tej dziennej scenerii trudno było sobie wyobrazić ciemność i naszą niestosowną namiętność.

— Pragnąłem cię zeszłej nocy — powiedziałeś. Nasze palce dotknęły się, gdy podawałeś mi miniaturową buteleczkę z alkoholem. — Zrobiłem z siebie głupca.

— Nie! — wykrzyknęłam. — To nieprawda! Wcale nie, ja ciebie także pragnęłam.

Usiadłam gwałtownie na krześle, jak gdyby popchnięta siłą swoich uczuć. Nigdy dotąd nie wiedziałam, jak to jest, gdy tak bardzo się kogoś pragnie. Czułam do ciebie nieprawdopodobny fizyczny pociąg. Czułam, jak całe moje wnę-



trze zostało odwrócone przez pragnienie bycia z tobą, wzięcia na siebie całego cierpienia i wszystkich rozterek, które mógłbyś przeżywać.

— Nigdy przedtem tego nie robiłam — ciągnęłam. — Bardzo mi na tobie zależy. Nigdy przedtem nie czułam się tak jak teraz.

— A ja tak — powiedziałeś tak obcesowo, że aż podniosłam wzrok, przestraszona. — Posłuchaj, nie pierwszy raz coś podobnego mi się przydarzyło. Nie jestem ideałem. Miałem już wcześniej różne romanse, oszukiwałem żonę. Ale to było dawno temu. Kocham moją żonę. Czy możesz w to uwierzyć? Naprawdę ją kocham. Nie mogę związać się z tobą.

— Domyślałam się więc, że to koniec — odezwałam się sucho.

— Zostańmy przyjaciółmi — powiedziałeś. Pochyliłeś się do przodu, układając ręce między kolanami. Poważnie, błagalnie dodałeś: — Żaden inny związek nie ma szans przetrwania. Ale możemy zostać przyjaciółmi.

Mój przyjaciel Darren mieszka w tym samym mieście co ty. W ciągu ostatniego roku, podczas jednej z naszych niedzielnych wieczornych rozmów telefonicznych, mimowolnie wspomniałam mu, że wreszcie spotkałam swego mężczyznę, ale że on jest żonaty. Gdy wymieniłam imię twojej żony — Helen i Darren działają razem na rynku wydawniczym — wiedział od razu, z kim się spotykam.

Kilka tygodni po tym, jak znowu odjechałeś do domu, zadzwonił do mnie Darren. Rozmawialiśmy przez chwilę, po czym powiedział:

— A, tak przy okazji, w ostatni weekend spotkałem twego przyjaciela z żoną. Hmm. To było nawet dość ciekawe.

Zatkało mnie.

— O Boże!

— Nie, nic takiego. Było ładne popołudnie, szedłem ulicą, a potem wstąpiłem na cappuccino do kawiarni w pobliżu mego domu, wyszedłem z kawą na taras. Raymond i Helen siedzieli tam i jedli lunch. Poznałem ją od razu — przez

tyle lat braliśmy udział w wielu promocjach książek i licznych bankietach z tej okazji.

— Doprawdy, nie mogę w to uwierzyć. — Zaczęło mi pulsować w głowie. — Musisz mi natychmiast powiedzieć, co się tam wydarzyło.

— Nic się nie wydarzyło — powiedział — po prostu tam byli. Przywitałem się z Helen, uścisnęliśmy sobie dłonie, rozmawialiśmy chwilę o wspólnych znajomych, z którymi mieliśmy kontakty służbowe. No, wiesz. Nic ważnego.

— Czy twoim zdaniem ona jest piękna?

— Nie, nie jest piękna. Przynajmniej ja tak uważam. Jest przeciętna. Ani wysoka, ani niska, z całą pewnością nie jest szczupła. Ale też nie powiedziałbym, że gruba. Jest zwyczajna. Dlaczego tak cię to interesuje? — Jego pytanie pozostało bez odpowiedzi.

— A co on? — dopytywałam się.

— Kto? Ach, jej mąż. „Pan Należyty” — powiedział sarkastycznie. — Fiona, ja naprawdę nie mogę zrozumieć, co do niego czujesz. On jest takim pospolitym cwaniakiem, nie ma w nim nic godnego uwagi. Zupełnie nie wiem, co wy dwoje możecie mieć ze sobą wspólnego. Nie wydaje mi się, by on myślał o kimkolwiek innym poza sobą. Wiem, wiem, on jest twoim księciem. Jezu! Pewnego dnia spojrzysz w przeszłość i nie będziesz mogła pojąć, jak mogłaś zakochać się w takim prostaku. Teraz mi nie wierzysz, to oczywiste.

Wiedziałam doskonale, że na pytania, które chciałam zadać mojemu przyjacielowi, i tak by nie odpowiedział — nawet nie mógłby odpowiedzieć. Chciałam wiedzieć, jaki to był dzień, czy obcasy butów Helen stuknęły, gdy przechodziła przez patio, czy mąż i żona siedzieli obok siebie, czy też po przeciwnych stronach stolika.

Jak byłeś ubrany, pijąc kawę z żoną w weekendowe popołudnie? Czy miałeś na sobie stalowoszare spodnie, które zwykle nosiłeś do marynarki w powszedni

dzień? Czy było dość ciepło na szorty? Czy może miałeś na sobie tę samą parę jasnoniebieskich džinsów, co tamtej nocy w hotelu, gdy dotarłam do twego nagiego ciała i wzięłam cię w usta?

Gdy następnym razem przyjechałeś zobaczyć się ze mną, spotkaliśmy się w moim mieszkaniu. Wspięłam się na palce, by pocałować cię w usta; byłeś zaskoczony, ale odwzajemniłeś pocałunek.

— Wiele o tym wszystkim myślałem — powiedziałeś.

W pokoju gościnnym byłeś roztargniony, robiłeś wrażenie, jakbyś nie mógł znaleźć sobie krzesła, na którym byłoby ci wygodnie. Przesiadałeś się z sofy na kanapę, to znowu na fotel, aż wreszcie usadowiłeś się na podłodze w pobliżu korytarza.

— Byłoby mi łatwiej mówić, gdybyś była tu przy mnie — powiedziałeś, pukając dłonią w podłogę.

Siedzieliśmy obok siebie, trzymając się za ręce jak dzieci. Słońce zachodziło i czerwony odblask jego zachodu widoczny był w kineskopie telewizora. Ściany mego mieszkania, śnieżnobiałe w środku dnia, teraz były szare niczym tekturowy karton.

— Myślałem o rozstaniu z żoną — powiedziałeś.

Wstrzymałam oddech. Bałam się poruszyć, wystawić tę chwilę na niebezpieczną próbę. Wydawało mi się, że zrozumiałam, jak może się czuć ktoś, kto trzyma w ręku kupon gry liczbowej, kto stwierdził, że do tej chwili wszystkie, oprócz ostatniego numeru, są trafione i teraz czeka na odczytanie tego ostatniego.

— Rozważałem możliwość ucieczki z tobą. Oceniałem wszystkie dotychczasowe wybory, których musiałem dokonać w trakcie trwania mego małżeństwa i całego mojego życia.

W kompletnej ciszy słyszałam odgłos twojego zegarka. Był bardzo drogi i prawie nie wydawał żadnego wyraźnego dźwięku, tylko pospieszny, przytłumiony szmer, podobny do szumu płynącej po kamieniach wody.

— Nie jestem pewien, czy chcesz to wszystko usłyszeć.

— Powiedz mi. Jestem przygotowana.

Wypuściłam powietrze. Piłka odbiła się o ziemię i wiedziałam, że nie wygrałam — nie musiałam nawet słyszeć głosu sędziego, który podaje wynik.

— Miałas znaczący wpływ na decyzję, którą podjąłem. Gdybym nie spotkał ciebie, nie myślałbym tak wiele na temat mojego związku z Helen. Ale po raz pierwszy byłem zmuszony spojrzeć na to, co posiadam. I postanowiłem, że zostanę z nią, bez względu na to, co zdarzy się pomiędzy nami czy co przyniesie przyszłość. Fiona, ja nie odejdę od niej. Nigdy. Nie wydaje ci się to banalne? Takie ślubowanie? „Dopóki śmierć nas nie rozłączy”. Ale tak jest naprawdę. Złożyłem tej kobiecie przysięgę. Nie przeżyłbym, gdybym miał nie dotrzymać danego słowa.

Poczułam się, jakbyś wbił swoje dłonie pomiędzy moje piersi, w głąb, między oba rzędy żeber, i próbował powoli rozrywać całą klatkę. To było nie do zniesienia—moja obecność w twoim życiu przyczyniła się do utrwalenia przysięgi złożonej żonie, a nie do jej zerwania. Wszystko, na co ośmieliłam się mieć nadzieję, zostało stracone; nigdy nie było niczym więcej niż złudzeniem.

— Dobrze, że mi to powiedziałaś — odezwałam się, starając się zachować spokój.

— Naprawdę? — Twój głos brzmiał ciężko. — Przy tobie czuję się bezpiecznie. Istnieje jeszcze jedna kobieta, która daje mi takie poczucie bezpieczeństwa, i z nią właśnie się ożeniłem. Fiona, obejmij mnie — powiedziałaś.

Rozpiąłeś moją bluzkę i dotknąłeś piersi, nie zdając sobie sprawy z tego, jaki sprawiasz mi ból. Czulałam się zrozpaczona, przerażona, jak ktoś, kto ma zostać porzucony na skraju nieuczęszczanej drogi. Próbowałam zdjąć ci spodnie, lecz musiałeś mi w tym pomóc; moje ręce drżały, byłeś w błędzie, sądząc, że powodem było podniecenie. Tym razem pozwoliłeś mi wziąć twój członek w usta, ale gdy wykonałam ruch, by podciągnąć spódnicę i usiąść na tobie, odepchnąłeś mnie.

— Nie możemy tego zrobić, mówiłem ci — powiedziałaś.

— A wydaje ci się, że co robimy? — zapytałam. Mój głos był wysoki, piskliwy, brzmiał obco w moich uszach. — Przez blisko rok. Kim jesteśmy dla siebie?

— Sądziłem, że byliśmy przyjaciółmi — odpowiedziałaś. Zapiąłeś pasek od spodni, wstałeś i oparłeś się o ścianę. Mieszkanie zrobiło się ciemne jak stare płótno. — Zależy mi na tobie. Zrobiłbym dla ciebie wszystko.

— Tylko nie odszedłbyś od niej — wymamrotałam.

— Co mówisz? — Ująłeś moją twarz w swoje dłonie, przesuwałeś kciukami po moich powiekach, po policzkach i wargach. — Fiona, Fiona, kochanie. Och, skarbie, dziecino, kochanie.

Wzięłeś mnie w ramiona i gładziłeś po włosach, ale byłem jak dziecko, dla którego nie ma pocieszenia. Wyrwałam się z twoich objęć.

— Fiona, posłuchaj mnie. Jaki miałabyś ze mnie pożytek, gdybym odszedł od niej? Byłbym wtedy jak martwy. Nie byłbym w stanie niczego dla ciebie zrobić.

— Sądzisz, że chcę, byś robił dla mnie cokolwiek?

— Wiesz przecież, że możesz zwrócić się do mnie zawsze, gdybyś czegoś potrzebowała — powiedziałaś, jakbyś w ogóle nie słyszała moich poprzednich słów. — Jeśli tylko będziesz potrzebowała jakiegokolwiek pomocy, możesz na mnie liczyć.

— Nic nie rozumiesz — odparłam — w ogóle nie masz pojęcia, co ja czuję. Niech cię diabli wezmą. Po prostu odpieprz się i zostaw mnie w spokoju.

Milczałeś przez długą chwilę; twoja twarz była odwrócona ode mnie. Wzięłam głęboki oddech, przestraszona. Dotknęłam lekko twego rękawa.

— Och, przepraszam — powiedziałam — nie to miałam na myśli. Jesteś teraz na mnie zły.

— Nie, nie jestem. — Ale cofnąłeś rękę i podszedłeś do krzesła, na którym wcześniej powiesiłeś swoją marynarkę. — Jutro rano mam samolot. Muszę już iść.

— Zawsze mnie opuszczasz — powiedziałam. Zsunęłam się po ścianie aż do podłogi. W pończosze zaczęło lecieć oczko i próbowałam zatrzymać je paznokciem. W pokoju było tak ciemno, że miałam wrażenie, iż opuszczam się do innego świata, oddalając się od rzeczywistości. Do świata cierpienia, w którym byłam zupełnie sama i którego nie byłam w stanie kontrolować. Wszystko, co zbudowałam dla siebie przez lata, rozplynęło się, a to, co pozostało, było jedynie zlepkiem obrazów z dzieciństwa i wspomnień.

— Nie opuszczam cię. Masz przecież mój numer telefonu do pracy, wiesz, jak mnie znaleźć.

— A jednak opuszczasz mnie. Nie pozwolę ci odejść. Nie mogę patrzeć, jak mnie zostawiasz — mówiłam, nie ruszając się ze swego miejsca na podłodze.

— Posłuchaj, naprawdę nie wiem, o co ci chodzi — powiedziałeś. — Nie mam pojęcia, co przydarzyło ci się w przeszłości. Wprawdzie opowiadałaś coś o tym i domyślałam się, że zapewne wszystko to, co dzieje się teraz, jest konsekwencją tamtych przeżyć. Ale nie ja ponoszę winę za to, że sama zadajesz sobie rany w ten sposób. Wezwij mi taksówkę.

— Nie, nie zrobię tego.

— Fiona, daj spokój, ja nie żartuję.

— Nie.

— Dobrze, odpieprz się więc. — Odwróciłeś się na pięcie i ruszyłeś w stronę wyjścia. — Zejdę do budki telefonicznej na dole i sam zadzwonię.

— W porządku, dobrze już, zaczekaj.

Podeszłam do telefonu, nacisnęłam klawisz i podałam swój adres. Stojąc w korytarzu, spoglądałeś na mnie podejrzliwie, zanim nie odłożyłam słuchawki i nie odwróciłam się w twoją stronę. Właśnie w tym momencie zauważyłam, że



nie mam na sobie bluzki; zdjąłeś ją ze mnie podczas naszego przerwane go zbliżenia i świadomość mojej nagości, kontrastującej z twoją zapiętą na ostatni guzik marynarką, spowodowała, że poczułam się bezradna, lecz po chwili znowu oparowała mnie złość.

— Proszę, nie opuszczaj mnie — powtórzyłam. W korytarzu było zbyt ciemno, bym mogła zobaczyć twarz mężczyzny, do którego mówiłam; mógł to być równie dobrze mój ojciec.

— Nie opuszczam cię.

— Jeśli wyjdiesz stąd, złamiesz mi serce — dodałam.

Westchnąłeś i wyszedłeś. Po chwili z ulicy dobiegł mnie odgłos podjeżdżającej taksówki.

W ciągu następnego miesiąca nie miałam od ciebie żadnych wiadomości. Jak zakochana nastolatka — choć wtedy nigdy nie byłam zakochana — z niepokojem czekałam przy telefonie; byłam niemiła dla przyjaciół i znajomych, witałam ich zawiedzionym głosem, gdy do mnie telefonowali.

Kiedy byłam nieco spokojniejsza, znajdowałam wiele powodów, żeby przejść obok hotelu, w którym zwykle się zatrzymywałeś, lub obok restauracji, do której chodziliśmy, by coś przekąsić. Spoglądałam na nie ukradkiem, jak ktoś przechodzący obok miejsca wypadku, w którym widoczne są wszystkie drastyczne szczegóły — plamy krwi na asfalcie, kończyna z rozszarpaną, zsiniałą łydką, szkło wbite w tak łatwe do zranienia czoło. Byłam owładnięta przemożną chęcią wtargnięcia do pokoi, w których trwaliśmy w swoich objęciach, ale jednocześnie zdawałam sobie sprawę z tego, że gdybym się tam znalazła, przekroczyłabym granicę terytorium, z którego powrót byłby dla mnie niemożliwy. Wydawało mi się, że teraz rozumiem, dlaczego niektóre kobiety z żalu traciły zmysły i mordowały swoich współmałżonków lub kochanków, przez których zostały porzucone. To, co przeżywałam przy tobie, gdzie indziej było nie do powtórzenia. Te uczucia były w pewnym sensie przeznaczone wyłącznie dla ciebie, a strata ciebie oznaczała dla mnie przekreślenie wszelkich szans na ponowne odzyskanie pełni życia i szczęścia.

Jeśli tylko było to możliwe, starałam się nie spędzać wieczorów. siedząc sama w domu. Przyjmowałam zaproszenia na uroczystości z okazji otwarcia galerii sztuki, na koktajle, gdzie byłam nagabywana przez dobrze zapowiadających się artystów, którymi często były pełne entuzjazmu i obaw średnio zamożne kobiety z kosmykami włosów opadających na czoło. Miały około czterdziestu lat, jak Helen, i przyłapywałam się na tym, że szczegółowo badam ich twarze, odczuwając radość za każdym razem, gdy znajduję linie zmarszczek wokół ich oczu i ust — dowód bezpowrotnie utraconej elastyczności skóry. W takim otoczeniu czułam się prawie dobrze i sądziłam, że dzieje się tak dzięki temu, że każda z tych osób była w pewien sposób nie spełniona. Spotykałam kobiety z wyższych sfer w kostiumach od Luis Feraud i odziedziczonej po przodkach biżuterii, zagadkowych mężów trzymających drinki w dłoniach i potakujących z kurtuazją. Bez entuzjazmu słuchałam otaczających mnie głosów, które nie miały absolutnie żadnego znaczenia; wymieniałam uściski dłoni z osobami, których nazwiska natychmiast uciekały mi z pamięci; miałam uczucie, jakbym wypła zbyt dużo, nawet wówczas, gdy nie wzięłam kropli alkoholu do ust; do domu wracałam tylko wtedy, gdy byłam już tak bardzo zmęczona, że miałam nadzieję natychmiast zasnąć.

Innym znów razem wychodziłam wieczorami z przyjaciółmi w moim wieku — prawnikami, nauczycielami czy lekarzami, którzy w wieku około dwudziestu pięciu lat byli dopiero u progu kariery. Wydawali przyjęcia na świeżym powietrzu w ogrodach wynajmowanych przez siebie domów; odwiedzali modne restauracje z *trompe l'oeil* malowidłami na ścianach i kelnerami, rozbijali kieliszki do wina o podłogę wyłożoną terakotą. Czasem chodziliśmy do nocnych klubów ze ścianami pomalowanymi na jaskrawe, cukierkowe kolory, a młode kobiety w moim wieku chichotały, flirtowały i zamawiały drinki z likieru z melonów i syropu z granatów. Dziewczyny te miały na nogach martensy i ubrane były w sukienki z lekkiego, wiotkiego materiału; młodzi mężczyźni mieli lśniące jak platyna włosy i starali się odróżnić od siebie, rzucając wokoło przenikliwe spojrzenia spod rzęs. Po zbyt wielu wypitych koktajlach próbowałam opowiedzieć o tobie moim przyjaciółom, ale miałam wrażenie, iż myśleli, że jest coś ze mną nie w porządku. Za każdym razem, gdy zaczynałam mówić o swoim obsesyjnym uczuciu do czterdziestoletniego mężczyzny, który był żonaty i mieszkał w innym mie-

ście, próbowali zmienić temat lub zapadali w kłopotliwe milczenie i wydawali się bez reszty pochłonięci mieszaniem drinków. Czułam, że nikt spośród tego grona nie miał życia tak całkowicie zmienionego przez inną osobę; dopiero jakieś prawdziwe przeżycia musiały ukształtować ich charaktery, czułam się więc coraz mniej z nimi związana. W takich miejscach, gdzie ty czułbyś się nieswojo, brakowało mi ciebie jeszcze bardziej, wracałam więc do domu z zawrotami głowy, czasem z uczuciem obrzydzenia. Gdy spoglądałam w lustro wiszące ponad umywalką, widziałam w nim twarz, która z każdym dniem traciła swoje atrybuty młodości. Nigdy nie będę w stanie odmienić tej części mego życia, nawet gdy wszystko to już przeminie. Tak więc znowu szłam do restauracji i klubów, wdzięczna za te chwile, kiedy muzyka była tak głośna lub rozmowa tak burzliwa, że nie mogłam myśleć o tobie.

— Wyobraź sobie — powiedziałam pewnego dnia przez telefon — będę w twoim mieście w przyszłym tygodniu, mam zamiar zwiedzić kilka galerii i zobaczyć nowe wystawy. Przyjadę tylko na trzy dni i będę miała wiele zajęć, ale może znajdziesz czas na spotkanie?

Przez chwilę nie odzywałeś się, a potem usłyszałam szelest przewracanych kartek.

— Mmm, chciałbym... czy możesz jeszcze raz powtórzyć, kiedy to będzie? Cholera. Mam akurat wtedy spotkanie w twoim mieście. Tym razem nic z tego nie będzie, ale wkrótce zadzwonię do ciebie. Obiecuję.

Gdy przyjechałam, okazało się, że zarezerwowano mi pokój w hotelu znajdującym się naprzeciw tego, do którego zaprosiłeś mnie po raz pierwszy na drinka. W ciągu dnia byłam bardzo zajęta, ale w wolnych chwilach spotykałam się z moim przyjacielem Darrenem; za obopólną, milczącą zgodą nie rozmawialiśmy ani o tobie, ani o twojej żonie. Ostatniego wieczoru umówiłam się na kolację z Carrie, koleżanką ze szkoły średniej. Przywitałyśmy się serdecznie w sali recepcyjnej hotelu i odważnie wyszłyśmy na zewnątrz, gdzie przejmujący wiatr zmusił ją do postawienia kołnierza i splecenia ramion wokół ciała.

— Myślałam, że pójdziemy do „Prism”, tej restauracji po przeciwnej stronie ulicy — powiedziała Carrie. — To miejsce jest bardzo *nouveau*, sądziłam, że ci się spodoba. Już nawet zarezerwowałam stolik.

Jak miałam jej wytłumaczyć, że ten hotel był miejscem zakazanym, ponieważ pewnego razu byłam tam w barze z mężczyzną? Przeszliśmy na drugą stronę ulicy, by dotrzeć do głównego wejścia z obrotowymi drzwiami, potem wzdłuż baru. Siedziały w nim inne pary, pijąc trunki przy stolikach przy oknie, być może gotowe do nawiązania romansu, a może, co wydawało się bardziej prawdopodobne, rozmawiając o sprawach służbowych, wspólnych znajomych czy najważniejszych wydarzeniach dnia. Byłam z jednej strony przerażona, lecz z drugiej podkscytowana tym, że powracam tu bez ciebie.

Jechałam ruchomymi schodami za Carrie, widząc odbicia naszych postaci w lustrach umieszczonych ponad fontannami i ogrodami pełnymi kwiatów, które stanowiły elementy wewnętrznego wystroju budynku. Restauracja „Prism” miała przestronną salę pełną ostrych kątów, abstrakcyjnego malarstwa i białych opływowych płaszczyzn. Gdy tylko wskazano nam nasze miejsca, Carrie zamówiła butelkę wina, ale ja poprosiłam o wodę mineralną, obawiając się, że jeśli wypiję choć odrobinę alkoholu, zaraz zacznę opowiadać o tobie.

Dania stanowiły wyrafinowaną kompozycję kształtów i barw. Wielokrotnie podczas posiłku musiałam przeproszać Carrie, by wyjść do toalety i spryskać twarz wodą. Toaleta była podłużna, wyłożona marmurem jak krypta; za każdym razem, wracając do sali restauracyjnej, spodziewałam się, że może będziesz jechał schodami w górę. Z miejsca, w którym się znajdowałam, mogła bym zobaczyć każdą część twojej sylwetki — czubek głowy w wyłożonym lustrami suficie, którą pochylałeś, w miarę jak schody wznosiły się coraz wyżej, twoje ramiona, ułożone wzdłuż sylwetki odbijającej się w lustrzanych ścianach, twoje plecy w zwierciadle znajdującym się z tyłu, za tobą. Byłam niemal pewna, że zobaczę cię właśnie w taki sposób — całego i w naturalnym wymiarze, jak idziesz w moją stronę; byłam tylko ciekawa, co zdołam dostrzec w twojej twarzy — trwogę czy szczęście — ale za każdym razem nie było w tym miejscu nikogo, nie było cię nawet w mieście: wracałam więc do sali restauracyjnej z jej chromowanymi

krzesłami i szklanymi rzeźbami. Mieszałam w swoim talerzu, zadawałam Carrie pytania, które wymagały długiej odpowiedzi, po to tylko, bym mogła kiwać głową, udając, że jej słucham, a na deser zamówiłam *tiramisu*, zamiast jak zwykle brandy.

Gdy wyszliśmy z hotelu, wiatr był tak silny, że niemal ranił nasze twarze i głowy. Niebo przybrało barwę lodowatego granatu. Płaszcz Carrie, targany porywami wiatru, trzepotał wokół jej ciała, a przewody elektryczne wydawały odgłos przypominający smagnięcie biczem.

— Do widzenia, do zobaczenia, przyjeżdż wkrótce. — Uścisnęliśmy się, po czym Carrie, zmagając się z drzwiami, w końcu zdołała wsiąść do taksówki.

Przeszłam na drugą stronę ulicy w kierunku plakatu, znajdującego się na plastikowej bocznej ścianie budki przystanku autobusowego, na którym Drew Barrymore rozpierała się, reklamując swój film pod tytułem *Guess*. Gdy dotarłam wreszcie do skrzyżowania, odwróciłam się i rozejrzałam, by zorientować się, gdzie właściwie jestem, i wtedy dostrzegłam sklep, na którego wystawie wisiała kiedyś pomarańczowa suknia, która, jak przypuszczałaś, była obiektem mego pożądania tamtego wieczoru, mniej więcej przed rokiem. Sądziłaś, że to suknia przyciągała moją uwagę, gdy tymczasem ja już myślałam o twojej białej skórze, o moim ciele w twoich ramionach, a nie w fałdach drogiej tkaniny. Tę suknię zdjęto, ale okno wystawowe było nadal oświetlone i bez trudu mogłam teraz zobaczyć trzy suknie ślubne za szybą. Były długie, ozdobione połyskującymi cekinami, ich spódnice składały się z kilku warstw koronki i tiulu. Trzy suknie ślubne wisiały sztywno w swoim szklanym pomieszczeniu, odgrodzone od zawieruchy.

Mijały dni, a ja nie mogłam przestać myśleć o tobie, czekać na ciebie. Było to uczucie, jak gdyby wywołane uszkodzeniem któregoś ze zwojów mego mózgu — jedno doświadczenie zarejestrowało się w formie pętli zwijającej się dokoła i każde wspomnienie. każde najmniejsze pragnienie było dzięki temu tak świeże, jakbym doświadczała go po raz pierwszy.

Musiałam dokładać ogromnych starań, by trzymać się z dala od telefonu, w nadziei że możesz zadzwonić lub przyjść, by zobaczyć się ze mną. W końcu zde-



cydowałam się przerwać ten utarty tok rozumowania i wyjechać na tydzień. Kalifornia.

Sądziłam, że pałący żar w samo południe, lawendowe niebo z rozmazanymi pasemkami obłoków, palmowe drzewa, które wyglądały, jakby za chwilę miały stanąć w płomieniach, wypalą we mnie choć wąską ścieżkę i poruszą zmysły. Nagrałam na taśmie automatycznej sekretarki informację, że wyjeżdżam na wakacje, i zarezerwowałam pokój w hotelu przy bulwarze. Ściany w pokoju obwieszono przypadkowo dobranymi plakatami przedstawiającymi Jamesa Deana i Marilyn Monroe, dywan był upstrzony dziurami po papierosach, a wszystkie włączniki światła popękane. Ogarnęło mnie pewnego rodzaju znużenie; rzadko opuszczałam swój pokój; stwierdziłam, że nawet aromatyczne powietrze kanionów kojarzyło mi się z ciepłem i bliskością twego ciała — w rezultacie jeszcze bardziej uświadamiało mi twoją nieobecność. Noce spędzałam bezsennie, leżąc w łóżku i słuchając subtelnych dźwięków muzyki operowej i komunikatów o nasileniu ruchu na autostradach, które dobiegały z radia obok łóżka. Chwilami opanowywało mnie nagłe przerażenie; nadchodziło nie wiadomo skąd i zaciskało się wokół mojej głowy; sprawiało, że ręce miałam zupełnie mokre od potu — nie powrócisz już, pozostała część mego życia upłynie bez ciebie. Nigdy przedtem nie obawiałam się samotności tak bardzo jak teraz.

Każdego ranka bez reszty pochłonięta byłam oglądaniem mego nagiego ciała w lustrze wiszącym nad umywalką w łazience; wpatrywałam się w swoje ramiona, piersi, brzuch. Zastanawiałam się, jak w takiej samej sytuacji wyglądałaby twoja żona — lepiej czy gorzej? Wiedziałam, że nie mato znaczenia, ale chciałam móc zobaczyć Helen naga. Poznać zapach jej ciała, dowiedzieć się, czy używa modnych perfum, czy niektóre części jej ciała zawsze mają tę samą woń — kwiatów jabłoni, ciepłego mleka czy imbiru.

W drugiej części tygodnia przyjechała do mnie ze swego domu, położonego nieopodal na wybrzeżu, dziennikarka telewizyjna, która jeden ze swoich programów poświęciła mojej pracy. Ostatnio widziałyśmy się kilka lat temu i ledwie rozpoznałyśmy w sali recepcyjnej hotelu. Teresa jeździła nowym mercedesem



450 SL; schudła prawie pięć kilogramów od czasu, gdy urządziła sobie własną salę gimnastyczną w jednym z wolnych pokoi domu.

— Wyglądasz wspaniale — powiedziałam, obejmując ją. — Bardzo ci do twarzy w tej nowej fryzurze.

Teresa dotykała moich wyciągniętych rąk i oglądała mnie od stóp do głów.

— Dziękuję bardzo.

Zapanowała kłopotliwa cisza, ponieważ nie odwzajemniła moich komplementów.

— Fiona. przyjechałaś tu tylko na kilka dni. Spakuj torbę i jedźmy do mojego domu, zostaniesz u mnie na noc. Nigdy przecież nie widziałaś, jak mieszkam.

Zgodziłam się i pojechałyśmy czystą szarą autostradą wzdłuż Pacyfiku, który połyskiwał po jednej stronie drogi. Gdy zatrzymałyśmy się na stacji benzynowej, obserwowałam, jak moja przyjaciółka podeszła do dystrybutora, po czym zniknęła we wnętrzu budynku. Przez brudną szybę widziałam, że rozmawia z kasjerem, odchyła ramiona do tyłu i śmieje się, pokazując coś palcem na mapie. Miała szczupłą sylwetkę, blond włosy o miodowym odcieniu, wyglądała jak dziewczyna. Ubrana była w starannie wyprasowane spodnie oraz sweter zrobiony ścięciem warkoczowym i ozdobiony złotymi guzikami, taki, jakie zwykle noszą dobrze sytuowane kobiety. Pomyślałam, że gdybym jej nie znała, nigdy nie domyśliłabym się, że jest to osoba, która przez ostatnie pięć lat swego małżeństwa kochała innego, także żonatego, mężczyznę.

Miasteczko, w którym mieszkała Teresa, było położone tuż przy plaży, miało niską zabudowę i barwę ochry. Ulice w centrum były pełne sklepów z antykami i restauracji, a gdy przejeżdżałyśmy tamtędy, w nozdrza uderzał zapach owoców morza i frytek. Na przedmieściach przeważały natomiast sklepy sieci Taco Bells i Wal-Marts i całe szeregi kilkupoziomowych domów za białymi bramami, gdzie stali strażnicy w budkach identycznych jak te, które można zobaczyć na przejściach granicznych.

W jednym z takich domów mieszkała Teresa z mężem. Gdy weszliśmy, zrzuciła buty i weszła do kuchni, naląła dwie szklanki wody Evian i jedną z nich podała mi na srebrnej tacy.

— Proszę. Masz teraz luksusowe warunki— powiedziała z lekkim przekąsem. — Możesz dzisiaj spać w pokoju gościnnym na górze. Nie krępuj się, rozejrzyj po domu, jeśli masz ochotę, a ja pójdę się przebrać i poćwiczyć przez jakąś godzinę. Potem możemy pomyśleć o kolacji.

W wysprzątanym dokładnie pokoju gościnnym próbowałam zapalić światło i przez pomyłkę włączyłam wentylator na suficie; każda kolejna próba wyłączenia go kończyła się fiaskiem, obracał się jeszcze szybciej. Poddałam się więc i poszłam korytarzem do gabinetu mojej przyjaciółki. Z pomieszczenia obok dochodził metaliczny odgłos ciężarków i niezbyt głośne sapanie świadczące o wysiłku. Na biurku Teresy, ustawionym pod starannie dobranym kątem, znajdowała się fotografia w skórzanej ramce przedstawiająca jej męża. Podniosłam ją i do oczu napłynęły mi łzy. John wyglądał prawie dokładnie jak ty — na zdjęciu trzymał ręce w kieszeniach, twarz miał zwróconą w kierunku światła. Mógł to być wczesny wieczór, ponieważ światło było złociste i chłodne. Nad czołem połyskiwało pasemko włosów, usta miał zaciśnięte.

— To mój mąż — odezwała się Teresa, stając w drzwiach.

Miała na sobie różowy elastyczny kostium i ręcznik narzucony na ramiona.

— Wątpię, czy będziesz miała okazję poznać go dzisiaj. Ma mnóstwo pracy. Któregoś dnia w zeszłym tygodniu wrócił dopiero o trzeciej rano, a już o szóstej wyszedł na umówione spotkanie. Zanim wróci, będziesz już pewnie w łóżku.

Na kolację pojechałyśmy do jednej z restauracji w śródmieściu, której ściany obito drewnianą-boazerią, a w suficie zamontowano świetliki. Jadłyśmy karczochy gotowane na parze i plastry surowego *ahi*. Zamówiłam szkocką, a Teresa, z policzkami jeszcze zaróżowionymi od ćwiczeń, kieliszek wina, które potem sączyła powoli podczas posiłku. Obrzuciła mnie badawczym spojrzeniem, gdy w połowie kolacji poprosiłam o kolejną porcję szkockiej.

Gawędziłyśmy o wielu znanych kalifornijskich osobistościach, coraz częstszych przypadkach przemocy w mieście i na przedmieściach, o młodym miejsowym pisarzu, którego prace publikowano już w „The New Yorker” i „Harper's”. Wielokrotnie miałam ochotę zapytać o jej małżeństwo i o to, czy nadal widuje się ze swoim kochankiem, ale nie zrobiłam tego.

— Gdy zobaczyłam cię w hotelu, wyglądałaś, jak gdyby umarł ci najlepszy przyjaciel — powiedziała Teresa przy kawie i sorbetach. — Chcesz może porozmawiać o tym?

— Nie będziesz chciała tego słuchać. To mężczyzna. Jest żonaty.

Teresa milczała przez chwilę, jej palce gwałtownie wyprostowały się, a po chwili starannie wytarła usta serwetką.

— Masz rację, nie rozmawiajmy na ten temat. Jeśli zaczniemy, nie będę mogła powstrzymać się, by nie mówić o Geoffie, potem zacznę płakać i będziemy miały zmarnowany cały wieczór. Mogę tylko powiedzieć, że cała ta historia z Geoffem przyniosła mi jedynie cierpienie, nic poza tym. Zresztą sama dobrze wiesz, jak to jest. Takie same przeżycia miała każda z moich przyjaciółek, która kiedykolwiek kochała żonatego mężczyznę. Cóż więc mogę ci powiedzieć? Nie umiem ci nic poradzić. Bądź tylko ostrożna.

— Myślę, że sprawy zaszły już znacznie dalej — odpowiedziałam — chociaż nigdy nawet nie spaliśmy ze sobą.

— Kochałam Geoffa dwa lata, zanim poszliśmy do łóżka — powiedziała Teresa. — To o niczym nie świadczy. Widziałaś zdjęcie mego męża. John jest atrakcyjnym mężczyzną, bardzo zaangażowanym w swoją pracę, jest przy tym naprawdę sympatyczny. Tak wiele razy zastanawiałam się, dlaczego właściwie to robię. Czuję coś niesamowitego, gdy jestem z Geoffem. Nie potrafię zrezygnować z tego uczucia.

— Gdybyś powiedziała mi to rok temu, nie wiedziałabym, o co ci właściwie chodzi — odpowiedziałam. — Pomyślałabym raczej, że to jakiś melodramat. Teraz doskonale cię rozumiem.

Otworzyła torebkę i sięgnęła do środka. Wyjęła pomadkę, puderniczkę i kartkę papieru, którą po chwili rozłożyła.

— To przyszło któregoś dnia pocztą od Geoffa.

Wzięłam od niej tę kartkę i zaczęłam czytać list napisany

eleganckim charakterem pisma: „W ostatni weekend widziałem cię w Santa Monica. Byłaś na promenadzie Ocean Front Walk — sama. Trzymałaś w dłoniach plastikowy kubek z wodą sodową, miałaś ciemne okulary i ten turkusowy sweter, który tak lubię. Nie mogłem oderwać od ciebie oczu, czułem, jakby ktoś rzucił na mnie jakiś czar. Przez następną godzinę podjeżdżałem kawałek i parkowałem, znowu podjeżdżałem i parkowałem, równoległe do ciebie, po to tylko, by móc na ciebie popatrzeć...”

Nie chciałam dalej czytać, czułam się jak szpieg.

— Nigdy nie będziemy mieli wspólnego życia — powiedziała Teresa cicho, wsuwając z powrotem list do torebki. — Nigdy nie odejdę od męża i Geoff nigdy nie zostawi swojej żony. Możesz mi wierzyć lub nie, ale nie możemy zranić tych dwojga bardziej niż dotychczas. Rozumiesz? Nigdy nie będę żyła z mężczyzną, którego kocham.

Tej nocy przewracałam się w pokoju gościnnym na łóżku, które zrobione zostało na specjalne zamówienie. Marzyłam, że idę korytarzem w kierunku łazienki, tej, którą wspólnie używają Teresa i John. i czuję twój zapach unoszący się nad jedną z dwóch znajdujących się tam umywalk. Cierpiałam, bolała mnie moja samotność. Obudziłam się po dziewiątej rano; na dole Teresa rozmawiała przez telefon, jednocześnie wsypując do kawy śmietankę w proszku i słodzik.

— John wyszedł już do pracy. Prosił, by powiedzieć ci dzień dobry w jego imieniu — wstała, a potem powiedziała do słuchawki. — O trzeciej. Tak. dobrze. Nie, to farbowanie tylko odrostów.

Odłożyła słuchawkę i weszła do salonu, w którym siedziałam, przeglądałam „Los Angeles Times” i piłam sok pomarańczowy.

— Mogę odwiedzić cię z powrotem. Skończyliśmy już nagrywanie audycji i dziś mam jedynie wizytę u fryzjera o trzeciej.

Przez chwilę stała pośrodku pokoju, patrząc na mnie, po czym powiodła wzrokiem po ścianach.

— Coś jest nie tak. Coś mnie tu drażni — powiedziała niespodziewanie.

Złożyłam gazetę i położyłam na stoliku. Czekałam.

Teresa potrząsnęła głową i po chwili szybkim krokiem przeszła przez salon, jej obcasy głośno stuknęły na drewnianej podłodze.

— To ten obraz. Jest przekrzywiony. Jakie to szczęście, że zauważyłam. Wiedziałam, że coś jest nie w porządku.

Dotknęła palcami narożnika obrazu przedstawiającego nagą kobietę, która trzymała na kolanach sznur pereł; obraz był leciutko przechylony w lewą stronę; poprawiła go i cofnęła się o kilka kroków, wsparłszy ręce na biodrach.

— Teraz jest lepiej. Doprowadzało mnie to do szału. Nie miałabym spokoju przez cały dzień. Teraz jest znacznie lepiej. — Odetchnęła z ulgą i odwróciła się do mnie z wesołym uśmiechem.

— Gotowa?

W miasteczku pożegnałyśmy się przed wejściem do hotelu, wymieniając krótkie, serdeczne pocałunki i obietnice skontaktowania się listownie.

— Trzymaj się teraz — zawołała Teresa już z samochodu. — Napisz o swojej błyskotliwej karierze.

Obserwowałam, jak moja przyjaciółka ostrożnie włączała się do ruchu swoim mercedesem. Słońce odbijało się w eleganckich krzywiznach karoserii i jej złocistych włosach. Pomyślałam wtedy, że zamieniłabym całą swoją obiecującą karierę i wszystko, co dzięki niej mogłam zyskać, na możliwość spędzenia życia z tobą. Zaczynałam rozumieć, że ta moc, która była źródłem mojej woli, nie była wystarczająco silna, by moje marzenia mogły zostać zrealizowane. Mogłam w

głębi duszy pragnąć kogoś całą mocą i uczuciem, a jednak ciągle traciłam go, zanim jeszcze w ogóle zaczął należeć do mnie.

Wróciłeś jednak jeszcze raz, ostatni. Dwa tygodnie po moim powrocie z Kalifornii. Zadzwoiłeś i zaprosiłeś mnie do swego hotelu.

— Cześć, to cudownie znowu cię widzieć! — powiedziałaś, obejmując mnie. Miałaś na sobie czarny podkoszulek i czarne szorty Adidasa; twoje spojrzenie było jasne, pełne energii, jak u kogoś, kto niedawno powrócił z urlopu. — Minęło tyle czasu. Co u ciebie słychać? No, powiedz, jak ci się wiedzie?

— Och, dobrze. — Usiadłam na kanapie. Za moimi plecami niebo nabierało coraz ciemniejszej barwy wieczoru i zaczynały rozbłyскиwać jedne po drugich światła w śródmiejskich biurowcach. — Wiele namalowałam, przede wszystkim dlatego, że mam teraz więcej czasu, ponieważ w tym semestrze prowadzę zajęcia tylko z jedną grupą studentów. Będę miała wystarczająco dużo prac na najbliższą wystawę. Spędziłam tydzień w Kalifornii. Było wspaniale. — Opowiadałam z lekkością, na jaką udało mi się zdobyć. — Cieszę się, że cię widzę.

— To jest najlepsze, co mogło się zdarzyć. — Uśmiechnałaś się i usadowiłaś na kanapie tuż obok mnie. — Ale na samym początku chcę coś zaproponować. Zapomnijmy o tym, co zdarzyło się tamtego wieczoru, co ty na to?

— Jasne. W porządku.

— To nigdy się nie zdarzyło.

— Już o wszystkim zapomniałam.

— Doskonale. Wyglądasz świetnie. Opowiedz mi jeszcze coś o swojej pracy.

— No więc...

Nie zdołałam dokończyć rozpoczętego zdania, ponieważ niespodziewanie pochyliłaś się do przodu i pocałowałaś mnie w usta.



Zamknęłam oczy, zupełnie zapomniałam, o czym chciałam mówić. Miałam wrażenie, że wyleciało mi z pamięci wszystko, co kiedykolwiek powiedziałam w swoim życiu. Twój pocałunek miał tak niszczącą siłę, jak nieoczekiwany wybuch. Gdy otworzyłam oczy, ujrzałam ciebie — twoje usta, kości policzkowe, twoje roziskrzone, niemal świecące źrenice.

— Nie mogłem się powstrzymać — powiedziałeś, uśmiechając się szeroko, zadowolony z siebie. Oparłeś się z powrotem o kanapę, patrzyłeś na mnie.

Nigdy przedtem żadne cierpienie ani błogość nie dały mi tak silnego poczucia mojej własnej fizycznej egzystencji, ale także śmiertelności. Po wpływie tego pocałunku w jednej chwili poczułam, że jestem częścią świata poruszającego się i oddychającego wokół mnie, że jestem konkretną istotą, zaangażowaną i nierozzerwalnie związaną, złączoną z innymi. Wiedziałam, że nie jestem samowystarczalna, że potrzebuję drugiej osoby, by odkrywać niektóre rodzaje uczuć i doznań. Było to dla mnie objawienie. Jednak zaraz potem uświadomiłam sobie, że nigdy już nie będę czuła dokładnie tego samego, co w tamtej chwili, z żadną inną osobą; wiedziałam, że nawet jeśli za kilka lat związę się z jakimś mężczyzną, i tak na zawsze moje myśli pozostaną przy tobie, zawsze też będzie mnie uderzał ogrom straty, jaką poniosłam.

Pochyliłam się i tym razem ja pocałowałam ciebie. Nie pośpiesznie. nie z radością, jak ty robiłeś to przed chwilą, lecz długo, jak ktoś, kto się żegna—gdyż wiedziałam, że część mnie to właśnie wyrażała, od samego początku, gdyż wiedziałam, że niczego innego nie można przekazać żonatemu mężczyźnie, tylko słowa pożegnania. Twoje usta dawały mi siłę do życia, oddałabym wszystko, by móc w nim uczestniczyć, ponieważ to, co moglibyśmy mieć razem, miałoby znacznie większą wartość od tego, co miałam dotychczas.

— Nie mogłam się powstrzymać — powiedziałam. — Jestem zgubiona. Cała należę do ciebie.

Roześmiałam się zaraz. Udałam, że nie mówiłam tego poważnie, by cię nie przestraszyć. Spojrzałeś na mnie szybko, potem odprężyłeś się i także roześmiałeś. Rozmawialiśmy przez chwilę i znowu mnie pocałowałeś. Razem rozpinali-

śmy moją bluzkę i przyglądałeś się, jak zdejmuję biustonosz. Przenieśliśmy się na łóżko; lekko przygryzałeś moje sutki, a ja leżałam pomiędzy twymi udami, dotykałam cię, ssałam. Po chwili uniosłeś mnie i trzymałeś ponad sobą.

— Czego ode mnie oczekujesz? — zapytałeś. — Co takiego mogę ci ofiarować?

— Chcę ciebie.

— Nie. Czego naprawdę chcesz?

— Ciebie. Tylko ciebie.

— Nie możesz mnie mieć. Nie mogę dać ci siebie.

Usiadłeś i potrząsałeś głową. Wyglądałeś na zrozpaczonego; przeciągałeś dłońmi po włosach i wydawało się, że zmarszczki mnożyły się wokół twoich oczu, gdy się tak tobie przyglądałam.

— Próbowałam, ale nie mogę. Coś mnie powstrzymuje. Nie wiem, co to takiego, ale to tkwi we mnie i muszę iść za tym głosem. Włóż bluzkę.

Powoli zapinałam guziki, zagryzając wargi od środka, od wewnętrznej strony ust, by nie zacząć płakać. Podeszedłeś do barku i przyniosłeś dla nas drinki, a potem usiadłeś na brzegu łóżka.

— Tak bardzo tęskniłam za tobą, gdy cię tu nie było — mówiłam powoli. — Czasem śniłeś mi się w nocy. Nie wiem, co mam robić.

— Myślę, że nareszcie zrozumiałem twoje zachowanie tamtego wieczoru. — Spojrzałeś na mnie. W twarzy miałeś chłód i stanowczość. W świetle lampy, na tle pozwijanych prześcieradeł, widziałam szary cień na twoich skroniach, szary kolor twoich oczu. — Nie domyślałem się wcześniej niczego, nie wiedziałem, co czujesz. Musisz naprawdę zatroszczyć się o siebie. Nie będę mógł zostać przy tobie.

Musiałam mimo woli wzdrygnąć się, ponieważ wyciągnąłeś rękę i dotknąłeś mego policzka.

— Chciałbym nadal cię widywać, ale nie tak przelotnie. Może za rok będziemy mogli spotkać się i pójść gdzieś razem na drinka, nadrobić zaległości. Będę ciekaw, jak ci się wiodło. Może nawet ustalimy jakiś termin regularnych spotkań, powiedzmy raz w roku, by dowiadywać się na bieżąco, jak nam się układa.

Ogarnęło mnie przerażenie, nie mogłam wypowiedzieć ani słowa.

— Rzeczywiście, wydaje się, że między nami nawiązało się jakieś uczucie, którego nie chciałbym całkowicie stracić. Chciałbym móc raz na jakiś czas upewnić się, że dajesz sobie radę; ale nie chcę, by nadal było tak, jak do tej pory. Fiona, ja nie jestem bez serca, mówię tylko, jak jest naprawdę.

— Jesteś jedyną osobą, której kiedykolwiek pragnęłam — odpowiedziałam, a słowa, w miarę jak je wypowiadałam, stawały się dla mnie objawieniem. — Nigdy przed tobą nikogo nie pożałowałam fizycznie. Seks, zanim się poznaliśmy, był dla mnie albo miarą siły albo upokorzenia, formą zadawania bólu samej sobie, czasami mojej matce. Nigdy nie było nikogo innego, od czasu gdy się poznaliśmy. Przypuszczam, że nigdy nie będzie.

— Nie, tu nie masz racji. Wiem, co przeżywasz, kiedyś czułem się podobnie. Ale taki stan nie trwa wiecznie. To się z czasem zmieni.

Było jeszcze coś, co chciałam ci powiedzieć, ale nie mogłam. Chciałam użyć słowa „kochać”, chciałam powiedzieć, że cię kocham. Ty byłeś dla mnie ostoją, jakiej szukałam od czasu, gdy rozstałam się z rodziną, w której miłość zadawała jedynie taki ból, że nigdy nie odważyłam się obdarzyć nikogo tym uczuciem, zanim nie spotkałam ciebie. Przez chwilę miałam nadzieję na inny dom: entuzjastyczne recenzje, które rozślawiały moje wystawy, coraz szersza akceptacja w środowisku artystycznym, nie były wystarczające. Od kiedy cię spotkałam, czułam, że znalazło się dla mnie miejsce w świecie, do którego mogłam przynależeć i w którym mogłam czuć się bezpieczna, jak inni. Spojrzałam na ciebie siedzącego na brzegu łóżka — twoje wygięte plecy, włosy wijące się nad karkiem, twój profil. Obracałeś w dłoniach szklanekę z wodą i w świetle, które padało z lampy stojącej obok łóżka, zobaczyłam zmarszczki wokół twoich oczu i ostro zaryso-

wane łuki po obu stronach ust. Poczułam, że twoja twarz stała się dla mnie tak bliska jak moja własna.

Jeszcze nie wiedziałam, a przynajmniej nie dopuszczałam do mojej świadomości, że nigdy cię już nie zobaczę. Zresztą, nawet gdybym była tego w pełni świadoma, i tak niczego więcej nie potrafiłabym zrobić, poza tym, co już zrobiłam tamtego wieczoru — mogłam jedynie zatrzymać twój obraz w swojej wyobraźni, jak dalece to było możliwe, tak, jak starałam się to robić zawsze.

---

## 9.

Wchodząc do sali bankietowej, Fiona widzi jedynie fragmenty ludzkich twarzy. Lampy o owalnych kształtach osadzone w głębokich otworach w suficie świecą przyćmionym światłem, rzucając refleksy na powiekę czy policzek, pozostawiając odblask na włosach lub złotej spince do mankietów. Z jednej strony ścianę pomieszczenia stanowi wyprofilowany w kształcie łuku szklany panel, przez który rozpościera się widok na molo i ocean; ciemnogrnatowa powierzchnia wody faluje jak tkanina balowej sukni.

Twarze obecnych nie od razu przybierają przyjazny wyraz; przyszła na przyjęcie dość wcześnie, gdy goście jeszcze niezbyt chętnie odłączają się od zwartych grup, które uformowali na wypadek, gdyby nie spotkali się z ciepłym przyjęciem w innym gronie. Fiona bierze kieliszek wina od ubranego w białą marynarkę kelnera i wędruje w poszukiwaniu znajomych jej osób.

— Jaka wspaniała sala na takie przyjęcie — zwraca się do pary w starszym wieku prowadzącej rozmowę tuż obok niej. — Cóż za niesamowity widok.

Mężczyzna i kobieta uśmiechają się uprzejmie.

— Więcej osób przyjdzie zapewne później — dodaje. — Czy znacie tu państwo kogoś?

Mężczyzna uśmiecha się ponownie, zakrywając usta dłonią pokrytą ciemnymi plamami. Kobieta przybliżyła się i pyta:

— Co takiego, moja droga?

Fiona potrząsa głową; chce oddalić się od nich, udając, że zauważyła kogoś znajomego po przeciwnej stronie sali. Wybawia ją gospodarz, który stoi na tle ustawionych rzędem obrazów; stuka w ściankę kieliszka do wina, by zwrócić uwagę gości.

— Będę mówił krótko, by nie psuć państwu przyjęcia. Będzie nam bardzo miło, jeżeli zechcecie podziękować za zorganizowanie przyjęcia osobom, które mają przypięte czerwone wstążeczki. Przygotowaliśmy przekąski i wino — mam nadzieję, że będziecie czuli się dobrze. Zapraszamy również do obejrzenia doskonałych prac miejscowych artystów, które wiszą na ścianach. Dziękuję państwu za przybycie i udział w tej uroczystości, która jest jednocześnie pożegnaniem mijającego, wspaniałego roku.

Rozlegają się oklaski, a mężczyzna stojący obok Fiony odwraca się i z zapałem potrząsa ręką kobiety, która ma przypięty do ramienia kawałek czerwonej wstążeczki.

— Dziękuję — zwraca się do niej. — Czy zorganizowanie tej uroczystości wymagało wiele wysiłku?

Kobieta cofa dłoń.

— To jest inna wstążka — odpowiada, wskazując na swoje ramię.

Fiona widzi, że kobieta ma przypiętą, tak ostatnio modną, czerwoną kokardkę — symbol zaangażowania w walkę z AIDS, a nie prosty kawałek wstążki z kwiatem róży, który dostrzegła u innych osób. Mężczyzna wydaje się zakłopotany i wygląda na to, że zupełnie nie może pojąć, jak zwykła grzeczność mogła obrócić się w towarzyski nietakt niemal na samym początku przyjęcia.

Zwykle gdy Raymond był w mieście, zapraszano go na takie przyjęcia. Po całym dniu wypełnionym spotkaniami najczęściej znajdował wymówkę i zamiast

iść na bankiet, przychodził do niej do domu. Siedzieli w dżinsach i skarpetkach, całując się i rozmawiając, on gładził jej włosy, jak gdyby należały do dziecka, które podziwiał. Schlebiało jej, że wolał jej towarzystwo od tego rodzaju zgromadzeń, które budziły uczucie niepokoju, nudy, czasem nadziei, będąc przez to nie do zniesienia. Ale były to czasy, gdy mógł widywać ją z dala od swojej pracy i od swojej żony. W odruchu gwałtownej potrzeby wyciągał do niej ręce; a zaskoczony tym gestem, obserwował samego siebie, jak ktoś, kto rzucił palenie i z poczuciem bezradności obserwuje swoją własną dłoń, która sięga po paczkę papierosów.

Właśnie na przyjęciach myślała o nim najczęściej, jego nieobecność odczuwała tak, jakby odjęto jej kończynę, a mimo jej braku ciągle w tym miejscu czuła mrowienie, które od czasu do czasu, bez żadnych wcześniejszych oznak, przeraża się w prawdziwy ból. Wydaje się jej, że może byłoby zupełnie inaczej, gdyby miała kogoś, z kim co jakiś czas w trakcie takiego wieczoru mogłaby wymienić porozumiewawcze spojrzenie, kogoś, z kim mogłaby przystanąć przy tacy z serem czy przy barze, dotknąć dłoni, zagadnąć: „Jak tam, dobrze się bawisz, czy może chcesz niedługo wyjść?”

Czasami ma ochotę zdradzić Raymonda, ale obiecała sobie kiedyś, że dopóki ich związek będzie trwał, nigdy tego nie zrobi. Ilekroć byli razem, gdy kładł dłonie na jej piersiach, gdy przewracał na łóżko i wpatrywał się w jej twarz z ponurym uśmiechem przyklepionym do warg, pytał: „Zdradzisz mnie? No, powiedz. Zdradzisz mnie?” Recytował rytmicznie, szepcząc te żywiołowe, namiętne słowa jak wyznania, jak obsceniczne przekleństwa, jak pornograficzne zaklęcia. Zaprzeczała ruchem głowy i obiecywała: „Nie. nie zdradzę cię nigdy”. Mówiła to z przeświadczeniem kogoś, kto wierzy, że to, co czuje w danej chwili, nigdy się nie zmieni.

Teraz chce złamać daną wtedy obietnicę, jakby miała ona taką samą wartość jak małżeńskie ślubowanie. Spacerując wokół sali, pozwala znowu kelnerowi napełnić swój kieliszek. Sala wypełniła się gośćmi i teraz musi przeciskać się bokiem pomiędzy stojącymi grupkami. Uśmiecha się, przechyla uprzejmie głowę. Wyraz twarzy, który przybrała, zdaje się mówić, że dobrze się bawi. W każdej



chwili, w której uświadamia sobie jego nieobecność, widzi, jak w jej wnętrzu jego klatka piersiowa unosi się i opada, jego palce powoli przesuwiają się po jej włosach i wzdłuż pleców, jego twarz staje się coraz bardziej pogodna i zrelaksowana, w miarę jak ona pochyła się nad jego rozchyłonymi udami.

Podczas uroczystości zorganizowanej z okazji wręczenia nagród, na której się poznali, było tak dużo gości, że nikt nie słyszał ich rozmowy ani też nie zauważył, że kierują się w stronę narożnika sali. „Wydaje mi się, że byłabyś zdolna popełnić morderstwo, by zdobyć to, czego pragniesz”, powiedział do niej wtedy z odrobiną tkliwości w głosie. Inni próbowaliby raczej zdobyć kobietę, mówiąc: „Jesteś piękna”, czy też „Kocham cię”, ale to właśnie jego słowa zrobiły na Fionie wrażenie. Zawsze pociągali ją ambitni mężczyźni, w których tkwił cień okrucieństwa, którzy czasami przy niej stawali się słabi, a potem wymierzali jej karę, odchodząc.

Nie miała w sobie właściwie niczego nadzwyczajnego. Wiele było takich kobiet jak ona; większość jej przyjaciółek można było scharakteryzować w podobny sposób. Jedną z nich, znaną w wielu krajach wykładowca, miała romans z mężczyzną, który bywał na jej wykładach. „Możesz posadzić przede mną całe audytorium, które będzie składało się z trzystu mężczyzn o doskonałej prezencji i przyjaznym usposobieniu, a ja zawsze wybiorę tego, który potem zada mi cierpienie”, powiedziała kiedyś.

Fiona była usidlona od pierwszej chwili, gdy poznała Raymonda. Jedynym jej mężczyzną, z którym spotykała się rok wcześniej, był pewien amerykański przedsiębiorca. Odwiedzał ją raz na miesiąc, gdy przyjeżdżał w sprawach służbowych do jej miasta. Był prezesem dużej korporacji i zasiadał w zarządach wielu firm; zabiegał o pieniądze tak, jak inni, na przykład jej przyjaciele, zabiegali o miłość. To było niemal rozczulające, ta jego obsesja na tle pieniędzy — tak bardzo na miarę lat osiemdziesiątych, a zarazem tak staromodna. Zawsze był gotów przywieźć jej jakiś zabawny prezent, a ona ceniła sobie to, że ich związek pozabawiony był wstrząsów. Tak mało dbał o pozostałą część jej życia, że w ciągu tego roku ani razu nie zapytał, jak spędza czas, czy ma jakieś marzenia lub dążenia. Może sądził, że nie robi absolutnie nic, ani też że niczego nie posiada, że gdy

nie są razem, ona kąpie się w pianie, a potem wyleguje na kanapie obitej satyną, jedząc czekoladki i spędza całe godziny przy telefonie na pogawędkach z przyjaciółkami. A zresztą, jakie to miało znaczenie? Ostatecznie ona także nic o nim nie wiedziała, poza tym że miał żonę w średnim wieku, która straciła figurę, że dzieci dorosły i rozpoczęły samodzielne życie, że zapracowywał się niemal na śmierć i uważał siebie za kogoś, kto nigdy nie był zakochany. Ilekroć pytała go o domowe sprawy, zawsze odpowiadał: „Świetnie”, z przesadną i nieszczerą wesołością, które nie zachęcały do zadawania dalszych pytań. Czasem puszczała wodze fantazji, wyobrażała sobie, że wychodzi za niego za mąż, ma podwójne obywatelstwo, kursuje pomiędzy dwoma krajami jego rolls-roycem, gdy tymczasem on spędza godziny w przeszklonych pomieszczeniach biurowych, rozmawiając o nie dających się objąć umysłem sumach pieniędzy z innymi mężczyznami, którzy mają przerzedzone włosy i ubrani są w sztywne garnitury.

Ale pojawił się Raymond, a wraz z nim osamotnienie nadciągające jak mgła. Gdy pewnego ranka obudziła się, by jak zwykle rozejrzeć się wokół, stwierdziła, że niczego poza samotnością nie była w stanie dojrzeć; samotność przesłaniała jej wszystko. Właśnie on uświadomił jej to uczucie. Po spotkaniu z nim wróciła do domu i stanęła przed lustrem, które odbijało całą jej postać — czy to ciało należy do kogoś, kto byłby zdolny do popełnienia morderstwa? Czuła swoje własne ręce i nogi, które próbują znaleźć kryjówkę, napięcie mięśni.

„Ja także jestem mordercą”, mówił jeszcze tamtego wieczoru, a kącik jego ust unosił się przy tym z wyrazem drwiny. „Jest nas na świecie tak niewielu, że od razu jesteśmy w stanie się rozpoznać”.

Być może Fiona patrzyła na niego z nadmiernym podziwem, być może sądził, że ona czuje się zbyt bezpiecznie w tym ekskluzywnym klubie, którego członkiem ją uczynił właśnie przed chwilą. Unosząc jedno podkreślone poduszką ramię i zaraz potem je opuszczając, powiedział niefrasobliwie: „Ale być może się mylę, może świat jest pełen takich jak my, pewnie jednak przedtem nie miałem racji”.

Wtedy właśnie zapragnęła chwycić go za rękaw i powiedzieć: „Nie, nie mylisz się”, ponieważ chciała uwierzyć, że była taka sama jak on, ponieważ wyda-

wał się jej tym rzadko spotykanym typem mężczyzny, który poruszał się otoczony poświatą, w sposób, w jaki zwykle czynią to piękne kobiety o wyrafinowanym stylu.

Z przeciwnej strony sali kobieta, którą Fiona jak przez mgłę pamiętała z jakiegoś przyjęcia z okazji świąt Bożego Narodzenia, machała do niej ręką. Zaczęła kierować się w tamtą stronę, gdy nagle zatrzymała się, słysząc imię Raymonda.

To imię w ustach innej osoby zabrzmiało niewiarygodnie poufale; na jego dźwięk coś skręca się jej w środku. Idzie w zaślepieniu w kierunku, z którego zostało wypowiedziane, jakby to było jakieś znajome światło wskazujące drogę podczas zawieruchy.

Mężczyzna, który wypowiedział to imię, nosi okulary, ubrany jest w sweter jak ktoś, kto demonstracyjnie buntuje się przeciw zwyczajowi nakazującemu mężczyznom nosić garnitury i krawaty. Wydaje się jej znajomy, a w miarę jak słucha tego, co mówi, dochodzi do wniosku, że jest to jeden z byłych pracowników Raymonda; być może kiedyś zostali sobie przedstawieni podczas jakiegoś przyjęcia. Ma trzy kreski wyryte pomiędzy brwiami, przypominają ślady pazurków jaskółki; stają się na zmianę to płytkie, to znów głębokie, w zależności od tego, w jakim stopniu jest skoncentrowany; są jak barometr, na którym można odczytać intensywność jego emocji w dowolnie wybranym momencie. Ona przygląda się tym kreskom zafascynowana i ponownie podsuwa swój kieliszek przechodzącemu obok kelnerowi, by napęlił go z butelki owiniętej serwetką.

— ...i uważam, że zupełnie źle odczytał tę sytuację — ciągnął mężczyzna. — Myślę, że był to poważny błąd z jego strony, zwłaszcza sposób, w jaki zdecydował się załatwić tę sprawę. Wiele osób uważa, że współpraca z nim stała się niezwykle trudna. Tego rodzaju opinie docierają do mnie coraz częściej...

Fiona nie może się opanować, czuje ekscytujący dreszczyk zadowolenia. Nabiera duży łyk wina i włącza się do rozmowy.

— Och tak, słyszałam o tej sprawie kilka dni temu podczas lunchu. Rzeczywiście musiało być panu trudno pracować w takich warunkach.

Mężczyzna nie przypominał sobie jej, ale chętnie przyjął to poparcie.

— To pani też o tym wie? Nie muszę więc opowiadać o szczegółach. Z jego powodu ostatni miesiąc stał się dla mnie istnym piekłem na ziemi.

Odwrócił się plecami do dwóch mężczyzn, z którymi przed chwilą rozmawiał, i wraz z nią przesunął się w kierunku narożnika, w stronę okien wychodzących na port. Molo było już oświetlone, a maszty przycumowanych łodzi sięgały nieba. Raz po raz dotykał jej ramienia dla podkreślenia tego, co mówił, ona zaś pochylała się nad kieliszkiem. Czuła chłodny i gładki dotyk szkła na swojej skórze, jakby był to policzek Raymonda. Chce rozmawiać o Raymondzie, ale obawia się, że z chwilą, gdy wypowie jego imię, mężczyzna obok niej nagle domyśli się, co ich łączy, a w jego myślach powstanie obraz jej w ramionach Raymonda. Wydaje się jej, że taką moc miałyby przerwanie milczenia; w każdej chwili mogłaby dopuścić się zdrady, mówiąc: „Znam go, znam jego zwyczaje, sposób, w jaki patrzy w kieliszek, zanim się z niego napije, jak gdyby sprawdzał, czy nie ma tam trucizny, wiem także, jak kaszle, jak zakręca kran w łazience, znam smak jego ust i mogę z łatwością opisać, jak odczuwam ich dotyk na swoim ciele”; lecz nawet słuchanie tego mężczyzny, przytakiwanie dla dodania mu pewności siebie jest już zdradą. Pamięta, jak kiedyś Raymond z pogardą wyrażał się o pewnej kobiecie, którą znali oboje, a która przyszła na spotkanie w prowokującym stroju, nie pasującym zupełnie do jej masywnej budowy ciała. „Jej nie można ufać”, powiedział wtedy, „wystarczy dać jej trochę alkoholu. a powie wszystko”. Teraz Fiona patrzy na swój kieliszek i gwałtownym ruchem opróżnia go, jak gdyby Raymond ją obserwował. Nawet gdy nie jest całkiem trzeźwa, ma świadomość tego co robi. To tak, jakby stała na szynach, obserwowała zbliżający się pociąg, z jedną nogą uwięzioną w zwrotnicy. Już nic innego nie może zrobić, tylko przyglądać się, jak nadchodzi katastrofa. Raymond także miewał podobne odczucia, gdy jej dotykał i jednocześnie obserwował swoją dłoń z mieszaniną przerażenia, pożądania i świadomości bólu, jaki potem będzie odczuwał.

— ...powinniśmy podać sobie nasze numery telefonów — mówi mężczyzna, próbując otoczyć ją ramieniem — możemy umówić się na lunch. Było mi bardzo miło z panią rozmawiać.

— Czy jest pan żonaty? — pyta raptownie.

Mężczyzna wzdryga się, odwracając wzrok; jest zaskoczony.

— Tak.

Ona kiwa głową. Nie potrafi odczytać jego intencji; kreski pomiędzy jego brwiami zdradzają tak niewiele. Soczewki okularów wydają się przyciemnione, ale w rzeczywistości odbijają się od nich ciemne barwy wody i nieba z zewnątrz. Fiona nie potrafi określić, czy jest on zainteresowany czymś więcej niż zjedzeniem z nią lunchu, i zastanawia się, czy mogłaby wypić na tyle dużo alkoholu, by zmusić się do pójścia z nim do łóżka i w ten sposób zbliżyć do mężczyzny, którego kocha. Zastanawia się, czy gdyby spała ze wszystkimi mężczyznami, z którymi on kiedykolwiek współpracował, zdołałaby dzięki temu być bliżej niego. Wyobrażała sobie nawet siebie w łóżku z jego żoną, myślała o tym, jak odkrywa te same miejsca na jej ciele, których on dotykał, które całował i które dawały mu rozkosz. Odnosi wrażenie, że robiąc to wszystko, mogłaby go ponownie odnaleźć, uwięzionego w ciałach innych osób.

Fiona idzie korytarzem w kierunku damskiej toalety, oddalonej nieco od sali bankietowej, w której przyjęcie zaczynało się z wolna rozpraszać; mężczyźni przetrząsali kieszenie spodni, kobiety swoje torebki w poszukiwaniu numerków do szatni.

Toaleta jest przestronna, wokół na ścianach wiszą lustra; w którąkolwiek stronę by się odwróciła, napotyka cztery własne, odbijające się w nich, postacie — z przodu i z tyłu oraz po obydwu stronach. Kręci się jej w głowie i już teraz wie, że później, w nocy, obudzi się z gwałtownym biciem serca, że będzie próbowała dotrzeć do łazienki i w jej jaskrawym oświetleniu znowu zobaczy swoją własną dłoń, która zapisuje numer telefonu i podaje mężczyźnie poznanemu na przyjęciu. Tak mocno dociskała pióro, myśląc o Raymondzie, że stalówka przebiła na wylot kremowy, błyszczący kartonik.

Ma dość samej siebie; nie może także znieść myśli o tym, co może sądzić o niej mężczyzna z przyjęcia, który rozmawiał z tamtymi dwoma, ubranymi w garnitury, albo czego mógł dowiedzieć się na jej temat. Zastanawia się, czy to, co



czuje, przypomina choć trochę odczucia zameżnej kobiety po tym, jak adorowała innego mężczyznę na przyjęciu, jak nie zobowiązująco zgodziła się umówić na lunch, a spotkanie zakończyło się w pokoju hotelowym pośpiesznym poprawianiem drżącą ręką szminki na ustach i upychaniem zabrudzonej bielizny na dnie torebki. Wstyd, gorycz i rozsadzający smak zdrady — nie tylko kochanej osoby, ale wobec samej siebie i danej sobie obietnicy.

„Czy twoja żona miała kiedyś romans?“, zapytała pewnego dnia Raymonda, wkrótce po tym, jak się poznali.

Na jego twarzy widoczny był całkowity spokój, mówił z rozwagą w głosie. „Jeśli nawet, to była bardzo dyskretna i jestem jej wdzięczny, że nie postawiła mnie w kłopotliwej sytuacji“.

Ale w życiu Fiony nie ma takiej osoby, której złożyła obietnicę dochowania wierności. Nie ma świadomości wiszącego w powietrzu rozgoryczenia męża, niedowierzania czy gniewu, widoku jego głowy wspartej na rękach podczas śniadania, odwróconych z niechęcią ramion. Gdyby nawet Raymond wiedział o dzisiejszym wieczorze, odczuwałby wyłącznie kłujący niepokój o swoją karierę, a nie o ich związek, który prawdopodobnie nigdy nie miałby dla niego takiej samej wartości.

Nie ma nawet takiej osoby, którą mogłaby zdradzić. Wydaje się jej to jawną niesprawiedliwością. Nagle czuje, że chce złapać rękoma za błyszczące, srebrne krany, pochylić się nad umywalką i szlochać, opierając głowę na kurkach. Ale wystrój toalety — kwiatowe kompozycje, marmurowe blaty i japońska muzyka koto, która sączy się z głośników, działają na nią kojąco.

Gdy odkręca wodę, słyszy, że otwierają się drzwi kabiny; stara się więc przybrać obojętny wyraz twarzy, tym bardziej że widzi nieznajomą kobietę, która zmierza w jej stronę. Ma niewiele ponad trzydzieści lat, jasne, starannie ułożone, sięgające brody włosy; ubrana jest w ciemnobrązową sukienkę, której ozdobą są pozłacane guziki i lśniący, złoty pasek w talii. Wygląda elegancko i dostatnio w czółenkach z delikatnych paseczków; nawet nie podchodzi do rzędu umywalk, by umyć ręce. Stoi przed jednym z luster i przegląda się, odwracając ramiona do



tyłu i do przodu — próbuje sprawdzić, czy zamek na plecach sukienki jest zapięty, potem szuka czegoś w połyskującej, niewielkiej wieczorowej torebce.

— Boże, co za przyjęcie — zwraca się do Fiony, którą widzi w lustrze po przeciwnej stronie pomieszczenia. Słowa wyrzuca z siebie gwałtownie; zlewają się ze sobą na końcu każdego zdania.

— Proszę mi wybaczyć, ale wypięłam parę kieliszków wina. Zaledwie kilka. Nie wierzę własnym oczom, wyglądam jak strach na wróble. A te nowe buty — od Ferragano — ranią mi nogi. Dlaczego takich przyjęć nie organizują w weekendy. Makijaż mam od rana, jak więc mam wyglądać dobrze wieczorem, po całym dniu. Boże! Wyglądam jak wrak człowieka. Te rozmowy, z tymi wszystkimi ludźmi. I ten mój mąż — zna pani mego męża?

— Nie — odpowiada Fiona, przyglądając się jej. — Pani jest?...

— Och, przepraszam. Sądziłam, że każdy to wie. Jestem Cynthia, żona Jacka Warrena. Jestem jego drugą żoną. Wszyscy tamci o tym wiedzą. Nie wie pani, kim on jest? Mój mąż. Jest prezesem Warren Group. Na pewno widziała pani w prasie artykuły na jego temat; jest znanym mecenasem sztuki. W zeszłym miesiącu jego sylwetka była prezentowana w jednym z poczytnych czasopism wychodzących w naszym mieście. To ten mężczyzna na wózku inwalidzkim.

— Ależ tak. — Fiona przypomina sobie mężczyznę w obszernej marynarce, o szerokiej twarzy, srebrzystych, błyszczących włosach zaczesanych znad czoła ku tyłowi, siedzącego na wózku inwalidzkim w grupie osób stojących pośrodku sali.

— Tak, to właśnie mój mąż — mówi dalej kobieta, wyciągając brodę w stronę swego odbicia w lustrze; odkręca przy tym tusz do rzęs. — To ja zaopiekowałam się nim po wypadku. Nikt jednak tego nie docenia. Przez wiele lat byliśmy przyjaciółmi, gdy jeszcze był mężem tamtej kobiety, ale ona odeszła od niego, kiedy okazało się, że jest sparaliżowany. A ludzie ośmielają się twierdzić, że odebrałam jej męża, ponieważ ma trochę pieniędzy i jest znaną osobistością. A ponieważ jest znany, pani wie, ludzie często o nim mówią. Ale to ja byłam przy nim, gdy tamta odeszła. Czy może pani w to uwierzyć?

Obraca się i stoi teraz na lekko rozstawionych nogach, twarzą w twarz z Fioną, jej wargi drżą; Fiona dotyka palcem poniżej swego oka, lekko pukając.

— Ma pani ślad tuszu... w tym miejscu.

— Och — mówi kobieta i zaczyna śmiać się nerwowo, wyciąga chusteczkę i przykładają do twarzy. — Czy już?

— Tak.

— To dlatego, że jestem jego drugą żoną, a nie pierwszą — odzywa się nerwowo, tak jak robią to ludzie pod wpływem alkoholu; skupiwszy się na jakiejś myśli, uważają, że jest ona równie interesująca dla innych, jak dla nich samych. — Wydaje im się, że mogą wyrażać się o mnie w ten sposób. Teraz wszyscy tam o mnie mówią. Nie wierzy mi pani? Proszę, niech pani idzie i zapyta. Powiedzą pani: „Ach, ta Cynthia”, powiedzą: „To taka pospolita materialistka, leci tylko na pieniądze”, bla, bla, bla. Ale to nieprawda. Kochałam go przez tak długi czas, już wtedy, gdy byliśmy przyjaciółmi. On się niczego nie domyślał, ale ja go zawsze kochałam.

— Rozumiem — mówi Fiona. Nagle czuje, że chce wyjść. Spogląda na zegarek, który wskazuje dopiero wpół do dwunastej. Jeśli wyjdzie teraz, może złapać taksówkę i jeszcze przed północą dojechać na lotnisko. Dzięki kilku kieliszkom wypitego wina ma dość odwagi, by polecieć do miasta, w którym mieszka Raymond, i powiedzieć mu, że go kocha. W głębi serca wie jednak, że jest już za późno. „Mężczyźni różnią się od kobiet”, powiedział jej kiedyś znajomy z college'u. „Zawsze istnieje możliwość, że kiedy powie się kobiecie, że się ją kocha, nawet jeśli ona myśli o odejściu, stopnieje, zmieni zdanie i wróci. W przypadku mężczyzn to nie działa i ma zupełnie inny skutek”.

Wie, że gdy tylko wsiądzie do taksówki, otrzeźwieje i zrobi coś bardziej rozsądnego. Pojedzie do domu, wypije szklankę wody, zażyje aspirynę i pójdzie do łóżka. Sam fakt, że rozważała możliwość pojechania do Raymonda, już wystarczy, by czuła się podtrzymana na duchu. Nagle przepelniają uczucie radości, dostrzega jakiś cel.

— No cóż, życzę powodzenia — mówi do tamtej kobiety, zabierając swoją torebkę, którą położyła na blacie.

— Już pani wychodzi? Miło się rozmawiało — mówi tamta. Maluje usta, z jeszcze gorszym skutkiem, niż przed chwilą malowała oczy; zajęta jest wpatrywaniem się w odbicie swojej twarzy w lustrze; ruchem warg rozprawdza szminkę w kolorze orzechowym.

Fiona przystaje na chwilę przed wejściem do sali bankietowej, zagląda, by sprawdzić, czy pracownik Raymonda nadal tam jest, ale nie zatrzymuje się zbyt długo. Zabiera swój płaszcz, wychodzi w noc. Zaczyna padać deszcz. Słodka, lekka mżawka opada w powietrzu, a światła narciarskich tras zjazdowych migocą na zboczach gór. Zatrzymuje się przy krawężniku, unosi rękę, by przywołać taksówkę, która niemal w tej samej chwili mruga światłami i posłusznie podjeżdża do niej, zupełnie jakby była karetą z bajki.

---

## 10.

Widziałam zdjęcie twojej żony w kobiecym czasopiśmie dostarczonym do domów. Zamieszczono w nim cały cykl artykułów o pracujących kobietach — w tym zdjęcie i krótki wywiad z Helen. Mówiła o tym, jak ważne jest dla niej zachowanie równowagi pomiędzy życiem prywatnym a karierą zawodową i poczucie komfortu, jaki daje jej kochający mąż, na którego może zawsze liczyć. „Moje małżeństwo jest najważniejszą rzeczą w moim życiu”, cytowano jej słowa.

Ubrana była w eleganckie kremowe spodnie o starannie zaprasowanych kantach i kaszmirowy sweter, poprzetykany perłami. Siedziała u podnóża schodów, z nogami ugiętymi w kolanach i brodą wspartą na rękach. Miała starannie umalowane usta, jej policzki były zaokrąglone, skóra wokół oczu lekko pomarszczona, jak zużyta jednorazowa chusteczka do nosa. Miała najwspanialsze włosy, jakie

kiedykolwiek udało mi się widzieć, tak jasne, jak włosy księżniczek, które istnieją tylko w bajkach, które dorastają tylko po to, by wyjść za mąż za mężczyznę ze swoich snów.

Nigdy nie byłam zakochana, aż do tego wieczoru, gdy spotkałam ciebie. A wtedy wszystko, co dotychczas rozumiałam, wszystko, co wydawało mi się oczywiste, uległo gwałtownej zmianie. Sądziłam, że szczegóły tamtego wieczoru zawsze będę miała w pamięci. Pamiętam rażące niebieskie cienie na powiekach kobiet obecnych na przyjęciu, mężczyznę w tweedowej marynarce, który klepnął w ramię mężczyznę z kolczykiem w nosie, mówiąc: „To ty jesteś tym złym fatum, które przyniosło ze sobą deszcz”, pamiętam błyskawice, które łamiącą się strugą spływały po oknach sali bankietowej, jak krew po ostrzu noża. Pamiętam także brandy kołyszącą się w kieliszku, który trzymałam w dłoni. Najlepiej jednak zachowałam w pamięci to wstrząsające uczucie, którego doznałam, gdy uściśnąłeś moją dłoń.

Następne piętnaście miesięcy to był najszcześniejszy okres w moim życiu. Czasem, popołudniami, sprząając mieszkanie na twój przyjazd, wkładając do lodówki butelki z twoim ulubionym winem, uświadamiałam sobie, że nigdy przedtem nie byłam szczęśliwa. Początkowo mojego spokoju nie zakłócało nawet narastające zainteresowanie twoim małżeństwem. Mimo to czasem zdarzało mi się leżeć w łóżku, nie śpiąc, i wyobrażać sobie twe dłonie zanurzone we włosach twojej żony, twoje powieki drżące pod jej pocałunkami, twoje palce wędrujące między jej uda. Wyobrażałam sobie zmęczoną twarz Helen wtuloną w tył twojej szyi, w miejscu, w którym twój zapach przypominał woń zieleni; układ ciała, gdy na w pół przebudzony delikatnie rozchyłałeś jej nogi. Wyobrażałam sobie także, jak czasem brałeś ją gwałtownie, wyobrażałam sobie jej reakcję na to, kiedy robiłeś to, jakbyś był dla niej kimś zupełnie obcym, kogo spotkała tylko raz i nagle poczuła przypływ pożądania; również i takie chwile, gdy dotykałeś ją z szacunkiem, ponieważ była kobietą i twoją żoną.

Zwykle po chwili zdawałam sobie sprawę, że chciałam przyglądać się, jak kochasz się ze swoją żoną. Jednak jedyną rzeczą, której pragnęłam najbardziej, było coś, o czym wiedziałam, że nigdy się nie zdarzy — chciałam być świad-

kiem, jak przekazujesz Helen najgorszą wiadomość w jej życiu; chciałam słyszeć, jak po piętnastu latach małżeństwa mówisz swojej żonie, że odchodzisz od niej, ponieważ spotkałeś inną kobietę, którą kochasz bardziej niż ją.

Moje fantazje na temat twojej żony przybierały kształt bardzo intymny i często pojawiała się w nich przemoc. Chciałam rozebrać Helen do naga, by poznać najdrobniejsze zakątki jej ciała, jej reakcje; pragnęłam położyć twarz na jej piersiach i wsłuchiwać się w bicie serca, w jego przyspieszony rytm, gdy ona osiąga orgazm, a potem w jej coraz wolniejszy oddech i tętno. Chciałam zbadać jej ciało między udami, tak jak robi to lekarz, obejrzeć centymetr po centymetrze jej skórę, by poznać każde znamię, pieprzyk, zmarszczkę, sprawdzić proporcję mięśni względem tkanki tłuszczowej, gęstość i porowatość kości.

Pragnęłam poznać ciało Helen w najdrobniejszych szczegółach, tak bym mogła zdjąć z niej skórę i naciągnąć ją na siebie. Czy twoja żona pokrywała się rumieńcem, gdy była podniecona czy zakłopotana? Czy miała cellulitis na udach, czy miewała egzemę albo spierzchnięte usta zimą? Czy bała się burzy, odczuwała strach przed zatłoczonymi pomieszczeniami, czy może czuła wstręt do pajaków? Jak aktorka, chciałam metodycznie wystudiować każdy jej gest czy tik, które wykonujemy nieświadomie. Czy lubiła pysznić się swoimi włosami i stale zwracała uwagę na fryzurę, często zakładając włosy za uszy, odgarniając je znad brwi. układając na ramionach? Czy obgryzała paznokcie albo czy próbowała zdejmować zębami zaschnięte resztki szminki z dolnej wargi? Musiałam wiedzieć, co miała w sobie takiego, że potrafiła zatrzymać twoją miłość?

Miałam jedną taką fantazję, do której nawet sama przed sobą nie chciałam się przyznać. Wyobrażałam sobie, że stoję za filarem wielopoziomowego parkingu i obserwuję, jak ktoś wyrwał kluczyki z ręki Helen, gdy sama, po pracy, szła do samochodu. Było to pewnej mroźnej zimowej nocy; niebo na zewnątrz romantyczne. pełne gwiazd. Widziałam siebie obserwującą ze stoickim spokojem, jak przy białej, lekko pomarszczonej szyi Helen błysnęło ostrze noża, który trzymał w dłoni jakiś obcy człowiek. Gwałtownie wsunął rękę pod jej spódnicę i pokonując warstwy jedwabnej bielizny, dotarł do jej pochwy. Na zawsze zostawił tam piętno — na zawsze już pozostanie w niej spiralny odcisk linii papilarnych jego



kciuka i ostrych krawędzi paznokci. A potem jego penis, brutalny i twardy jak kij baseballowy. I jej głos, pojękiwanie, jakie wydawała, wykręcając mu rękę; z miejsca, w którym się znajdowałam, brzmiało zmysłowo, jak odgłosy, które — wyobrażałam sobie — czasem wydaje, gdy jest z tobą.

W tej mojej fantazji Helen nie próbowała się bronić; wydawało mi się, że zepsułoby to cały obraz, gdyby się wyrywała, nadając tej scenie cechy przemocy i gwałtu, które sprawiłyby, że wydawałaby się aż nazbyt realistyczna. Chciałam tylko widzieć ból w jej twarzy, tę straszliwą obojętność, którą może czasem wywołać tylko najgłębsze cierpienie, zniekształcając prawdziwe rysy twarzy. Chciałam zobaczyć na jej twarzy wyraz, jaki prawdopodobnie przybrałaby, gdybyś jej powiedział, że wszystko skończone, całe piętnaście lat małżeństwa; koniec; domyślałam się, że żaden gwałt, dokonany na jej ciele, nie wywołałby równie głębokiego cierpienia na jej twarzy.

Widok obcego mężczyzny z twarzą pomiędzy jej piersiami, wdychającego zapach mydła, którego używała, perfum i potu; ślady, niby płatki kwiatów, które jego palce wycisnęły na jej skórze; nagość jej łona na parkingu, włosy między nogami, w kolorze szaroburym, miękkie jak futro, prawdopodobnie ciemniejsze niż na głowie; wydawało mi się, że tylko poprzez jej ciało mogę być jak najbliżej ciebie, wydawało mi się, że jest to jedyne miejsce, w którym mogę cię odnaleźć.

Niedługo po tym, jak się poznaliśmy, zapytałam: „Co będzie, jeśli pewnego dnia mnie opuścisz? Co się stanie, jeżeli któregoś dnia znikniesz, przestaniesz odpowiadać na moje telefony, nie będziesz chciał się ze mną spotkać?”

Odpowiedziałeś wtedy: „Tak, to wszystko może się zdarzyć”. Potem roześmiałeś się, gdy ja zaskoczona, milczałam. „Gdy będę martwy. Będziesz wtedy wiedziała, że nie żyję”.

Nigdy nie zapytałam cię, czy miałeś na myśli to, że umrzesz i nie będzie cię już wśród żywych, czy też to, że będziesz martwy dla mnie. Gdy odszedłeś, nie umarłeś, a przynajmniej nie w taki sposób, w jaki ja pojmowałam śmierć, jako coś ostatecznego, co uczyni twój powrót niemożliwym. Rzeczywiście było coś, co cię powstrzymywało, ale to coś było w tobie, w środku, wewnątrz twojej ży-



wej osobowości, nigdy jednak nie powiedziałeś mi, co to jest. Czasami myślałam, że powodem było to, że nic dla ciebie nie znaczyłam, że nasze spotkania stały się dla ciebie kłopotliwą rutyną. Innym razem znowu tłumaczyłam sobie to tym, że widocznie mnie kochałeś, a uczucie to niszczyło cię, tak jak moja miłość do ciebie rujnowała mnie. Nie miałam jednak wystarczających dowodów ani na jedno, ani na drugie; być może było to coś zupełnie innego, co nie miało nic wspólnego ze mną.

Twoje odejście przywołało wspomnienia. Kiedyś, gdy miałam osiem lat, przeczytałam pamiętnik mojej matki. To były nieduże grube notesy, oprawione w tkaninę, woskowane kartki całe zapisane ręcznym pismem mojej matki; wszystkie włożone w worek na śmieci leżały ukryte na dnie mojej szafy na ubrania. Albumy ze ślubnymi zdjęciami, stare ubrania i płyty, poukładane w pudełkach lub torbach, trafiały na dno mojej szafy, w której było więcej miejsca niż w szafie w pokoju rodziców, poza tym prawdopodobnie matka sądziła, że nie zauważę tych pamiętników, a jeśli nawet, i tak nie będę w stanie zrozumieć ich treści. To była prawda, nie rozumiałam wiele z tego, co przeczytałam, ale dowiedziałam się z nich, że w życiu mojej matki był żonaty mężczyzna, który nie był moim ojcem; ktoś, kogo kochała swego czasu — trudno było stwierdzić kiedy, ponieważ żaden z zapisów pamiętnika nie był opatrzony datą. Nic, na pozór, nie zaszło między nimi. Wiele razy zapraszał ją na lunch, na kolację, ale z większości zaproszeń nie skorzystała.

Pewnego razu podarował jej bransoletkę, ale zwróciła mu ją, płacząc. Kim był tamten mężczyzna? Nie wiem, dlaczego sądziłam, że był profesorem, mężczyzną w okularach o prostych rudawoblond włosach zaczesanych znad czoła do tyłu. „Nie wolno mi, to jest nie w porządku, nie mogę sobie na to pozwolić”, pisała, kończąc tymi słowami wiele spośród pamiętnikowych zapisków. Co się stało? Zapytałam ją w dobrej wierze, lecz jak się okazało, pytanie to wywołało zupełnie odwrotny skutek. Zrozumiałam, że w jakiś nieokreślony, ale zdecydowany sposób to, czego się dowiedziałam, dawało mi władzę nad nią. Tamtej nocy, zanim ojciec wrócił do domu z pracy, matka usiadła przed kominkiem z ogromnymi nożycami w dłoniach — tymi, których używała do krojenia materiałów — i swoimi pamiętnikami. Były tam dziesiątki niewielkich książeczek, wysypujących

się z worka na śmieci, ich stronice rozsiewały zapach herbacianych liści i różanego kremu do rąk. Przecinała stronę po stronie, najpierw na połowę, potem na ćwiartkę; ta mrówcza praca, którą wykonywała w całkowitym milczeniu, zajęła jej około godziny. Gdy wszystkie książeczki były już zniszczone, wsypała je z powrotem do worka, po czym, podtrzymując go obiema rękami, wyniosła na zewnątrz i postawiła przy krawężniku; słychać było kłapanie jej domowych pantofli, gdy schodziła po schodach. Czułam doniosłość tamtej chwili, choć nigdy nie potrafiłam ująć tego w słowa. Zrozumiałam, że wtedy moja matka straciła coś bezpowrotnie i że jej życie nigdy już nie będzie dla niej takie jak przedtem.

Podczas kolejnych miesięcy po naszym rozstaniu wydawało mi się, że wszędzie widzę ciebie albo twoją żonę. W twarzach innych mężczyzn widziałam odbicie twoich rysów, gdy w godzinach lunchu mijali mnie na tętniących życiem ulicach miasta. Ich oczy skrzyły się jak mika, mieli podobny do twego owal twarzy i po raz pierwszy przyszło mi na myśl, że pod wieloma względami musisz być zupełnie zwyczajnym człowiekiem, gdyby bowiem było inaczej, czy tak wiele osób mogło być do ciebie podobnych? Niemniej rzadko zdarzało się, bym przy ponownym spojrzeniu dostrzegła to podobieństwo. Tak samo było w przypadku twojej żony. Pewnego dnia sądziłam, że rozpoznałam Helen w pobliskim sklepie ze zdrową żywnością; stała przy kontuarze i wskazywała na tacę z babeczkami. Co robiła w tym mieście? Ale gdy ta kobieta odgarnęła do tyłu włosy, zauważyłam, że była to tylko twarz innej pięknej kobiety, która zaczynała zdradzać oznaki upływu czasu. Zastanawiałam się, nadaremnie, co zrobiłabym, gdybym ponownie spotkała twoją żonę — czy byłabym uprzejma czy zjadliwa, bezinteresowna czy bezwzględna? Czy udawałabym, że nic się nie stało, czy też powtórzyłabym słowa, które przy mnie wypowiadałeś, wspomniała o obietnicach, które złożyłeś, choć to się nigdy nie zdarzyło? W niektóre poranki stawałam przed lustrem, przypominając sobie wyraz twarzy Helen, ten z fotografii. Uśmiechała się, ale mimo to w jej twarzy pozostawało wrażenie smutku wokół oczu — kąciaki lekko opuszczone, poważny, pełen skupienia wyraz, który zazwyczaj nadają swemu spojrzeniu doradcy albo psycholodzy. Czy było to zamierzone, czy było odzwierciedleniem jakiejś części jej osobowości, czy wyłącznie przypadkiem — efektem odbicia światła? Z łatwością mogłam sobie wyobrazić Helen patrzącą na

ciebie w taki właśnie sposób pod koniec dnia pracy, gdy zrzuciłaś ciężar z serca, opowiadając jej o sprawach, które wydarzyły się podczas jej nieobecności. Stałam przed lustrem, które miało boczne skrzydła i mogłam obejrzeć swój prawy i lewy profil, mrużąc oczy tak długo, aż wreszcie wydawało mi się, że twoja żona spogląda na mnie z lustra.

Pewnego dnia szłam główną ulicą w stronę swojej pracowni, gdy spojrzałam na billboard i wydawało mi się, że zobaczyłam cię na plakacie reklamowym, odwróconego plecami do strumienia pojazdów i przechodniów, przepływającego ulicą poniżej. Widziałam twoje ramiona, które rozkładałam i całowałam, linię twoich pleców, wyprostowaną sylwetkę. Przeszłam dookoła przecznicy i stanęłam pod billboardem, zaraz obok namiotu wzniesionego przez bezdomnego, wśród krzaków znajdujących się pod reklamą. Oczywiście to nie byłeś ty, po prostu mężczyzna na plakacie miał podobny sposób trzymania się — sprężysty i wyprostowany — taką samą budowę ciała. Plakat reklamował jakąś abstrakcję: sieć systemów telekomunikacyjnych przyszłości. Przedstawiał wiele sylwetek mężczyzny, zarówno w zmniejszeniu, jak i powiększeniu — spacerującego po plaży, wchodzącego na kondygnację schodów, które kończyły się w powietrzu, przechodziły przez żelatynowy balonik, gdzie złota rybka trzepotała płetwami. Poczulałam zapierający dech w piersiach ból i narastające pożądanie, a przecież tamten mężczyzna nie miał z tobą nic wspólnego, podobnie jak ty nie miałeś nic wspólnego z moimi fantazjami.

Musiał minąć ponad rok, by moja obsesja przestała być tak silna. Nadal każdego dnia myślę o tobie i nadal jestem przekonana, że w moim życiu nigdy nie będzie nikogo takiego jak ty, ale przynajmniej gdy patrzę w lustro, widzę w nim tylko swoją własną twarz, a gdy zaglądam w twarze mężczyzn, mijających mnie na ulicy, widzę wyłącznie obcą osobę, która nie przypomina mi nikogo znajomego. Często zastanawiam się, czy czasem myślisz o mnie albo czy powiedziałeś swojej żonie o naszym związku, ale godzę się z tym, że są to pytania, na które odpowiedzi nigdy nie poznam.

Nigdy nie będę miała okazji poznać Helen; moje zbliżenie do niej było obścieniczne i jednostronne. Pielęgnowaliśmy naszą miłość i troskę o tego samego

mężczyznę, ale chociaż nasze ręce i usta muskały twoją skórę, nigdy się nie dotknęły.

Nigdy także nie dowiem się, jakby to było, gdybym była z tobą, lecz nie tak, jak to było, lecz jak mąż i żona czy matka i jej rodzina. Czy miałabym bezsenne noce u twego boku, jak moja własna matka u ojca, gdy byłam dzieckiem i budził mnie ze snu jej szloch, jej zawodzenie, że nigdy go nie kochała, że byłoby jej lepiej bez niego? Ze wszystkich możliwych wersji mojej przyszłości życie z tobą było tą która została mi odebrana, i nigdy nie będę miała okazji Przekonać się, czy byłaby to ta najbardziej czy najmniej szczęśliwa.

TLR